

ADOLF NOWACZYŃSKI

WIGILJA  
DUSZEŃKI

---

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Długi, bardzo długi czas w Wierchniedurnowsku była tylko jedna jedyna jadłodajnia dla ludzi statecznych, majątnych i pragnących się dobrze najeść i napić. Domyśli się każdy czytelnik, że mówię tu o „restaurancie“ przy browarze Michała Maxymowicza Borussowa przy Małej Petersburskiej; tam gdzie już niedaleko plant kolejowy naprzeciwko starych Łaźni. Niebardzo to piękna jadłodajnia była z zewnątrz dla oka ludzkiego, ale tam, gdzie się pasie żołądek, oko możesz bracie przymknąć i nie patrzeć. Z przodu piętrowy dom z ogromną siecią wjazdową dla furgonów z beczkami, w głębi za podwórzem pięciopiętrowy browar z czerwonej cegły niby jaki kastel górował nad całym cyrkułem kolejowym, ba nawet nad całym Wierchniedurnowskiem.

Jak wszyscy inni tak i Ilja Jegorowicz Tielega szczęśliwy właściciel wielkiego składu mąki, krup, jagiel i grochu przy końcu Słowiańskiego Prospektu uczęszczał wieczorami i co to zatajać często i w południe na kieliszek lub na kufeleczek do oazy wypoczynku przy Małej Petersburskiej. Uczęszczał chronicznie mimo ciągłych protestów Duszeńki, to

jest ni mniej ni więcej tylko własnej małżonki, która miała ostatecznie pewne prawa do niego jako że wniosła mu spore wiano w interes, a następnie obdarzyła parką zdrowych i rumianych córek tylko potomkini. Ciągnęło jednak nieprze-  
parcie do Michała Maxymowicza, to co ciągnęło innych, mianowicie mocne zdrowe piwo, obficie, a z prosta zastawiony bufet i swobodny nad wyraz obyczaj, jaki panował w mieszczańskim lokalu. Ostatecznie atoli stary Tielega miał jeszcze mocniej-  
sze argumenty swej obrony w dyskusjach z żoną, gdyż cieszył się jak to wiadomem było w całym mieście specjalną przyjaźnią i zaufaniem potentata z Małej Petersburskiej. Wieczorami przy stoliku naprzeciwko bufetu, gdzie rezydował stale Michał Maxymowicz wolno było przysiąść się tylko bardzo niewielu wybrańcom z pośród obywateli Wierchniedurnowska.

Do takich zaliczał się i Lew Abramowicz, generalny dostawca chmielu, pozatem osobistość nie-  
tutejsza, ale bardzo ciekawa i nieprzeciętna. Skąd osobistość pochodziła, niewiadomo. Jedni go uważali za Ormiaszkę, inni za Gruzina, jeszcze inni za Karaitę. Dość, że tylko Tielega i Lew Abramowicz mieli przywilej siadywania naprzeciw-  
ko kasy, kontrolowania wpływów co się waliły oknami i drzwiami, przekomarzania się z bufetowe-  
mi dziewczynkami i protekcyjnego zaczepiania wcho-  
dzących gości.

W roku niewiadomo już dziś którym zdecy-  
dowała się zwierzchność przeprowadzić w tych okolicach nową odnogę kolejową, łączącą Wierchniedurnowsk z bliskimi kopalniami. Wpłynęło to oczywiście nadspodziewanie wszystkich na gwał-  
towny rozwój skromnego i mało znanego dotych-  
czas grodu. A że to przy wzmożonym ruchu kole-

jowym zaraz więcej wykroczeń i omijań prawa, więc przyszedł zaraz i wyższy sąd, potem filja Banku Państwa, potem szpital oddzielny dla cho-  
rób skórnych, dwie większe fabryki, nowy posteru-  
nek żandarmerji, towarzystwo ubezpieczeń od ognia, filja jednego ze stołecznych towarzystw ubezpieczeń na życie i ot masz całkiem nowy cyrkuł. Wierchniedurnowsk cywilizował się i rósł w oczach jak na drożdżach, na drożdżach kupionych oczywiście u starego Tielegi, który miał je na składzie w naj-  
lepszym gatunku.

Skutkiem tych okoliczności (przyznajmy z gó-  
ry, że szczęśliwych) okazała się atoli wnet potrze-  
ba nowej jadalni w Wierchniedurnowsku. A wia-  
domo, że gdzie się okazuje jakaś potrzeba, tam musi być wnet i jej zadośćuczynienie. I tak się też stało. Nie upłynęło 5 lat, dosłownie pięć lat od po-  
stanowienia nowego dworca, jak na Prospekcje Sło-  
wiańskim otwarto z wielką pompą i szykiem odrazu „Maison Dorée”. Ma Kijów swój „Jardin d'hiver”, ma Moskwa swój „Chateau de fleurs”, dlaczego Wierchniedurnowsk nie mógł sobie pozwolić odra-  
zu na „Maison Dorée”?

Bywalcy jadalni Michała Maxymowicza przyjęli fakt otwarcia nowego restauranta z zimną krwią, ale i z wyraźną niechęcią. Nie trzeba zata-  
jać, że weranda „Maison Dorée” z wazonami peł-  
nymi kwiatów, białe obrusy na stolikach, garsoni we frakach i t. p. błazeństwa stały się z czasem ulubionym przedmiotem nielitościwych kpin i szy-  
derstw przy stoliku uprzywilejowanym Michała Ma-  
xymowicza na Małej Petersburskiej. Inaczej atoli za-  
patrywało się na tę nowalję miasto samo. „Maison Dorée” wstępny bojem zdobył sobie fawory in-  
żynierów, wyższych wojskowych, profesorów, urzęd-  
ników i dwóch redaktorów liberalizującego tygodni-

ka „Wierchniedurnowskiej Pszczoly“. Protegowały go przytem z właściwą namiętnością i niepohamowaniem wszystkie damy miasta. Wśród nich także pani Duszeńka, małżonka znanego nam mączarza Tielegi. Ta ostatnia atoli całkowicie platonicznie, niestety tylko platonicznie.

Ilja Jegorowicz wiernie bowiem trzymał się stołu Michała Maxymowicza. Żył się już z tem wszystkim od tylu lat. Nie mierzyły go ani zaduch, ani bardzo względna czystość, ani fetor kapusty, ani gryzące oczy obłoki taniego dymu, ani częste kłótnie, awantury, a nawet czynne obrażania się po twarzach niektórych co nerwowszych gości. Kiedy Duszeńka od czasu do czasu napykała cośkolwiek o tem, że wartaloby aby Ilja Jegorowicz choć raz dla ciekawości ot zaglądnął, zwiędził, przypatrzył się od środka jak też to wygląda i co się dzieje w „Maison Dorée“, stary wierny swemu browarowi puszczał te kuszenia mimo uszu i wzruszał tylko ramionami. Połowicę swoją uważał zawsze za coś nie coś pomyloną na mózgu: grywała na fortepianie, czyściła sobie paznogie, dzieciśka uczyła gimnastyki, czytywała grubę książki, czasem po trzy tomy powieści wciąż o tem samem, wogóle zajmowała się wieloma sprawami, nic z mąką i krupami nie mającemi wspólnego.

Ponieważ zaś rozniosło się po Wierchniedurnowsku, że w „Maison Dorée“ bywają z żonatymi i ich żony i córki i ciotki i narzeczone, więc oczywiście sfiksowana Duszeńka wbiła sobie świeca w głowę, że to i ona niby musi iść z mężem na salę pomarańczową przy Słowiańskim Prospekcie, gdzie się zbiera porządne towarzystwo. Ot próżna baba i tyle.

Tymczasem zaś urodna jeszcze Tieleżyna miała i swoje w tem racje, nic nie mające wspólnego z damską próżnością. Chciała, przynajmy to wreszcie wyrwać raz małżonka poprostu z fatalnej kompanji. Nie tak bowiem zupełnie niewinnie przedstawiały się wieczory Ilji Jegorowicza przy Małej Petersburskiej. W manjerach i obyczajach podupał tam stary co się wlezie. Nauczył się kłać po macierzystemu aż uszy bolały. Dziewczynki delikatne za byle co walił, pozał się Boże całkiem za przykładem Michała Maxymowicza, który chłopaków restauracyjnych, przy każdej sposobności ot tak dla konkocji żołądka bił pięścią między oczy lub dwoma pięściami w kark, aż i krew się lała raz po raz. Conajmniej dwa lub i trzy dni w tygodniu wracał Ilja Jegorowicz na rodzinne pielesze zalany jak nieboskie stworzenie, z poszarpaną odzieżą, sumitujący się i przysięgający na klęczkach, że „już z tą kanalją zrywa na zawsze“; trzeba to jednakże wyjawic, że tylko wtedy gdy w pijanym stanie tego wieczora podpisał jakiś niekorzystny kontrakt z młynarzami (zazwyczaj podsunięty mu nie w porę przez Lwa Abramowicza) lub gdy znów przegrał większą sumę w karciochy, a sumienie go gryzło z powodu wypróżnionej kieszeni.

Grywało się tam bowiem przy stole Michała Maxymowicza grywało hazardownie, że aż miło. Tylko karty trzaskały po brudnym blacie. W lanc-knechta, we ferbla, w geryłasza, w ulubione gry gospodarza lokalu grywano czasem do siniego ranka. I żeby już być z prawdą w całkowitym porządku, to wyznać trzeba, że znowu Michał Maxymowicz lubił pasjami ni stąd ni zowąd talję i z fałszowanemi kartami wyciągnąć z kieszeni i oszukiwać bezecnie partnerów jak się patrzy. Taka to już była słaba strona tego mocnego człowieka.

Energiczny, zabiegliwy, pracowity jak wół, własnym mozołem i pięściami oraz rozmaitemi sztuczkami solidnej firmy się dorobił, czeladź w karności i posłuchu trzymał, wzorem dla wszystkich browarników w gubernji mógł być choćby tylko w zbijaniu pieniędzy, ale cóż, w karty oszukiwać lubiał. Takie już zбочzenie dziwaczne miał i wyperswadować mu tego nie było można za nic w świecie.

Mówili coprawda zazdroszczący mu dorobku, że tak samo fałszuje w rachunkach, w kontraktach, ba nawet że służbę okrada w wypłatach, no, ale to była stanowczo zła potwarz ludzka, a w każdym razie duża przesada. Na gorącym uczynku tego rodzaju jeszcze nikt go złapać się nie ośmielił. Że atoli w karty przy lancknechcie oszukiwał, to czuł Ilja Jegorowicz namacalnie, bo na własnej kieszeni.

Jeszcze większą zgrzyotę miała atoli biedna pani Duszeńka z powodu drugiego kompana swego małżonka, to jest Lwa Abramowicza, o której to zgrzyocie mawiały też niby to półgłosem ale tak, żeby i ona słyszeć mogła, między sobą, a z przekąsem wszystkie znajome i przyjaciółki.

Nietylko bowiem chmiel, to jest martwy towar dostarczał Lew Abramowicz dla browaru przy Małej Petersburskiej, ale miał jakąś osobliwą manję w prowadzeniu do piwiarni to zabłąkanych kursitek, to jakichś słomianych wdówek, to emancypowanych córek czynowniczych, ba nawet wprost dziewczątek niedobrego prowadzenia się, które wprowadzone wieczorem, już potem zostawały przy stole gospodarza, nawet gdy drzwi frontowe i okna zaryglowano, światła w bramie pogaszono, a służba pokładła się w sieni na siennikach spać. Bywało, że i Ilja Jegorowicz zostawał wtedy i nikt nawet nie wspominał wtedy o kartach.

Co innego azle wtedy z rąk do rąk. Niestety, co innego.

Pomimo to, pomimo to, co się wyżej nadmienilo, pewnego dnia, a było to w lecie, zdaje się w lipcu i zdaje się nad wieczorem, Olga Nikiforówna (bo takie było właściwie imię Duszeńki) zdecydowała się wzięwszy na bok Ilję Jegorowicza zdaleka od dzieci, nachylić ku sobie jedno jego wielkie włochate ucho i coś mu tajemniczego ze zgoła panieńskim rumieńcem cichym szeptem zakomunikować.

Tielega choć ciężki w ruchach odskoczył na bok z radością niepohamowaną obie ręce podnosząc w górę.

— Nie może to być? Prawdaż to?...

— Prawda — jako Bóg na niebie.

— No, to może wreszcie będzie syn? Duszeńko, malczyk? spadkobierca? he?

— Nie może, ale na pewno będzie syn, Iljuszka. Na pewno, ale pod jednym warunkiem.

— Mianowicie?

— Mianowicie, że zmienisz co nieco tryb życia. Że przedewszystkiem zerwiesz z bandą z browaru (tak zawsze nazywała Michała Maxymowicza et consortes), przestaniesz ich całkiem wogóle znać, kupisz mi nowy kapelusz i pójdziesz ze mną kilka razy do Maison Dorée. Rozumiesz teraz? Spróbujesz ty raz spóżyćcia w uczciwym towarzystwie, to w nagrodę dostaniesz synka. To ci zaręczam i przysięgam.

Nie jest wiadomem, na czym się opierała znowuż, przysięgając z taką śmiałością Olga Nikiforówna, ale jest wiadomem w całym Wierchniedurnowsku, że w pewien piękny wieczór lipcowy na werandzie przy Słowiańskim Prospekcie bardzo blisko balustrady zasiedli przy śnieżno białym na-

krytym stole znani w mieście właściciele największej może w gubernji, światowej firmy mącznej: Tielega i Spółka.

Tak wielką bowiem okazała się w Ilji Jegorowiczu chęć posiadania męskiego potomka, któryby nie znał już nawet ze słyhu ordynarnej kompanji z Małej Petersburskiej, a obracał się w towarzystwie honorowych ludzi. I od tego dnia lipcowego poczawszy, dość już często można było widzieć pana kupca z rogu Słowiańskiego Prospektu, siadającego to na werandzie to w sali pomarańczowej, to z żoną, to bez Duszeńki, to w towarzystwie inżynierów, to z kupcami pierwszej klasy Fomą Matwiejewiczem (jedwabie) z Jurim Porfirowiczem (księgarnia i przybory piśmienne), to nawet z dwoma redaktorami liberalizującego tygodnika: „Wierchniedurnowska Pszczola“. Chadzał tam w czarnym nowym garniturze z angielska skrojonym, a obuwie miał szykowne żółte, znowuż amerykańskie. Na początku oczywiście co zazdrośniej się obywatele cokolwiek się dziwili, że taki sobie Tielega, mączarz tak łatwo wszedł w lepsze towarzystwo. Widocznie tedy nie raził swą rubasznością kupiecką?

Z czasem oswojono się z Tielegą w „Maison Dorée“.

Zaczęto już nawet mawiać z całkiem naturalnym akcentem: mówił to Ilja Jegorowicz w „Maison Dorée“, spytaj się pana Ilji Jegorowicza dzisiaj w „Maison Dorée“... Wierchniedurnowsk przechodził nad tem do porządku dziennego.

W restauracji przy Małej Petersburskiej atoli odejście Ilji Jegorowicza przyjęto z zimną krwią ale nie bez abominacji. Michał Maxymowicz nie przejmując się rozłąką z przyjacielem swoje nadal robił, wstawał jak zawsze o świcie, pracował co

wlezie, chłopców grzmocił, w rachunkach coś nie coś nadal oszukiwał, a nagabywany raz po raz o Ilję Jegorowicza odburkiwał lakonicznie nie wyciągając fajki z olbrzymich, wspaniałych zdrowych kłó: der Ilja „Muromec“ kommt wieder...

Tymczasem atoli Ilja Jegorowicz nie wracał. Miesiąc, drugi miesiąc, trzeci, prawie czwarty nie wracał. Trzymał się dzielnie.

Ależ łąłby ten i to łął wierutnie, kto by twierdził, że sam Ilja Jegorowicz oswoił się tak gładko z nową sytuacją i z nową kompanją, tak całkiem innego stylu, innej edukacji jak tyloletnie jego bractwo z Małej Petersburskiej. Ciągnęło wilka do lasu i do lasów, ciągnęło.

W „Maison Dorée“ wszyscy goście już niby też otrzaskali się z jego niebardzo kształtną sylwetką, ale czasami jednak coś tam pomruczeli do siebie, wskazując go sobie za plecyma. Poprostu uznawali w nim jakgdyby tylko pierwszą w gubernji firmę mączną i tyle, specjalistę mącznego. Z manjerami Tielegowymi oswajali się atoli z pewnym trudem.

Kiedy, zapominając się na ten przykład, spluwał raz i drugi na środek czerwonego sukna, zasłaniającego pomarańczową salę, powiedziano mu z uśmiechem, ale nie bez szczypty sarkazmu:

— Ilja Jegorowicz, ot u was i mocno amerykańskie gesty.

Usłyszawszy to, spluwał odtąd jeszcze swobodniej, dopóki nie zauważył, że ten gest „amerykański“ w „Maison Dorée“ się nie przyjął i że szczególnie bezczelne fagasy miały mu to stanowczo za złe, za — shoking.

I wiele zresztą jeszcze przykrych rzeczy przyszło zaobserwować Tieledze w „Maison Dorée“, że i djabełby się chyba z tem wielkopaństwem szczerze

poprzyjaźnił, nie istotnie ruska dusza, jaką był bezsprzecznie potentat mączny z rogu „Słowiańskiego Prospektu“.

Przedewszystkiem w tych salach bywało omal cicho, czasem ledwie gwarno, „niemuzykalnie“. A tam, tam na Małej Petersburskiej grała duża tajemnicza kunsztowna szafa w rogu to „Fra Diavolo“ to Lohengrina, to Kamarinskę i to Kamarinskę z cymbałkami i dzwonekami. Tam na Petersburskiej mogłeś bracie, gdy w humor popadłeś, gwizdnąć w ścianę szpikulcem ze szaszłyku, a naokoło śmiech aż dudni. Spróbuj teraz coś podobnego tutaj, a pięknie byś na tem wyszedł. Tam przelatywał koło ciebie chłopczyk z piwem, a ty jego z fantazji ot buch w czaszkę, a wszyscy brawo, rwetes, hałas, krzyk i wesołość. Obrusy tam były czerwone w kratkę, a tu białe jak przesćieradła, a malować na nich muzyckim ołówkiem podobizny bufetowych ani się waży. I bufetówek tu wogóle ani na lekarstwo, a za to, tfy, pożal się Boże... sandwicze. Tam w restaurancie, przy browarze co tydzień ktoś rozbijał swobodnie lustro, ale je potem słono też płacił. Tu nikt nie płaci za zbite lustra bo je nawet nikt zbić się nie waży, bo i nie umie.

Tu wysoko na słupach jakieś cudaczne wazy przez koślawych japońców wyrzeźbione, a na ścianach jakieś niby sztychy podobno anglikańskie, ani to do płaczu, ani do śmiechu, nawet nie poznasz co takiego, chyba, że ci powiedzą. Kielbasy na widelcu nikt ci tu nie poda, żebyś nie wiem jakie sumy płacił.

A co najgorsze, że na jadłospisach wszystko przeklecie nie po staremu, nie po swojsku. Maszli wilczy apetyt na baraninę i palcem delikatnie pokaziesz tagasowi na takim „menuecie“ francuski

napis, to z pewnością dostaniesz w dobre pół godziny, ale... kuropatwę... tfy... skórę i kości. A spróbuj teraz kuropatwę swoją wziąć w palce i potem zerknij, jak na ciebie popatrzy najostatniejszy garson, zaraz się dowiesz, co o tobie myśli...

I im więcej chodził do Maison Dorée Ilja Jegorowicz Tielega, tem ciężej mu było na duszy i na sercu. Choć tam potrawy były drogie i smaczkowite, nic mu nie szło na zdrowie, co zjadł, jako że w towarzystwie nieszczerem, w którym przy końcu zacnego obżarstwa nietylko już rozpiąć wyższych guzików u spodni, ale nawet guzików u kamizelki jakoś nie wypadało, nie wolno było! Rozmaici rozgadywali tam rozmaite rozmaitości, bo to i uczeni byli i napodróżowali się wiele i w Petersburgu raz po raz każdy z nich bywał i szlachetne pryncypja różne wygłaszali.

Obyczaj atoli wszystkich tych gości był nie szeroki a wąski, krępujący, sztuczny, pretensjonalny.

Kłaniali się sobie za dużo, szastali nogami za często i tak jakoś szanowali siebie wzajemnie i świadczyli sobie, że aż nudno było patrzeć. A już co go doprowadzało do wścieklej, głuchej pasji wewnętrznej, z trudem jeno hamowanej, to pewne słowo, słówko, jedno ale nieznośne i głupie do krzty, do dna głupie, mianowicie: sandwicze! Co znaczy sandwicze? Małe pożal się Boże wycieczki bułki, z śledzionkiem czy jakimś tam paskudztwem na wierzchu! małe, stobyś tego połknął po jednej wódce. A to podawane z taką ceremonją, tak uroczyście, na srebrnej tacy. Płuć poprostu! Sandwicze. Miałbyś ochotę, jak sunie taki nicpoń z temi sandwiczami, kopnąć w tacę z całej siły, żeby się cała sala zasandwiczyla i nauręgać cza-

sem całemu porządnemu towarzystwu, ażby ścia-  
ny trzeszczały.

Nie, po tysiąc razy nie przyzwyczai się Ilja Jegorowicz do tego nowego towarzystwa. Wysilał się i przymuszał, bo wierzył w tę obietnicę, którą mu zrobiła Duszeńka. Za zerwanie z kompanją browarską Opatrzność go wynagrodzi małym Tielegą. Ale w duszy, na dnie czaiła się skulona i skomlała cicho szczerą przyrodzoną tęsknota za starym obyczajem, za szczerymi ludźmi, za maszyną grającą, za filuternym i wyzbytym z wszelkich przesądów Lwem Abramowiczem. I smutek go brał za tym samowarem-samsonem na 250 szklanek, co to stał w kącie i buchał parą i za tymi kufkami z porcelany udającymi głowy znakomitych wodzów jakichś tam, no a najwięcej, co tu długo obwijać w bawełnę za samym Michałem Maxymowiczem Borussowym. Miał on tam swoje wady piwowar i swoje małe i wielkie łajdactwa, ale miał znowuż właśnie szczerze ludzką ciepłą tolerancję dla wad bliźnich. Ludziska nie mówili o nim z szacunkiem, to prawda ale i on do wszystkich żywił srogą pogardę. A już co najwięcej w nim było cenne to to, że miał swobodny obyczaj. Szachrował w kartach i w rachunkach, ale Bóg świadkiem, że i innym szachrować pozwolił i zamykał olbrzymie swe bielmowate oko, gdy się figlarnie wysuwały z rękawa znaczne karty. Uznawał szczerzy człowiek, że zabawa to zabawa. A bywało znowuż, że jak w gniew popadnie, jak się nasroży, zacznie perorować i pięścią walić w stół, albo w głowę parobka, to widowisko się robi pierwszej klasy, aż cię ciarki przechodzą, a bać się jednak nie potrzebujesz, bo on panem u siebie w browarze, a tyś panem w swojej wielkiej mączarni. Ot i co.

Nadchodziła wreszcie zima, a z nią śnieg i mrozy. Jak i inne miasta tak i Wierchniedurnowsk nie był przez zwierzchność od zimy zwolniony. Więc i na Słowiańskim Prospekcie pojawiły się pierwsze sanki i pierwsze kupy brudnego śniegu. W „Maison Dorée” werandę oczywiście skasowano, a stoliki wniesiono do środka, ale ruch w interesie jeszcze się wzmógł.

Pani Duszeńka coraz biedaczka biedsza, tym razem jakoś gorzej i z trudnością znosiła dolegliwości odmiennego sposobu życia. Raz po raz pokładała się do łóżka na kilka dni. Zawsze atoli zapytywała Ilję Jegorowicza z niesłabnącą ciekawością: a co tam najmilejszy słyhać w „Maison Dorée”?

Ilja Jegorowicz odpowiadał szeroko i długo, ale półgębkiem, kto tam był i co mówił i co jadł. Nie zapominał przytem zawsze wspomnieć coś i o przeklętych sandwiczach. Opowiadał niby to z uśmiechem i z zadowoleniem, ale w duszy szamotała mu się już wezbrana nienawiść do tych wszystkich poprawnych panów i tych obrusów białych i tych ukłonów ustawicznych i tych garsonów sztywnych i tych rozmów o całym świecie Bożym, a najmniej o ukochanym Wierchniedurnowsku oraz małych i miałych łajdactwach jego sympatycznych mieszkańców.

I zdarzyło się pewnego razu a raczej pewnego wieczora, kiedy właśnie szedł do „Maison Dorée”, gdzie miał umówione niepotrzebnie spotkanie z jakimś przemądrzałym-profesorem (którego nazwiska nawet nie mógł zapamiętać) postanowił dla wypróbowania swej mocnej woli ot tak troszeczkę zboczyć; przejść przez całą Małą Petersburską i to właśnie koło browaru, koło jadłodajni. Dotychczas bowiem w ten sposób radził so-



bie Tielega w walce ze swym rozlazłym charakterem i z palącymi pokusami, że poprostu stale Małą Petersburską omijał i z mieszkania szedł spacerem dokoła przez Żandarmski Zaulek i Soborny Plac na Słowiański Prospekt. Tym razem postanowił spojrzeć szatanowi w oczy, przejść koło dawnego rajy i przechodząc poprostu splunąć. I jak się rzekło tak się zrobiło. Śmiałym krokiem przeszedł całą ulicę, potykając się tylko na fatalnym bruku, a raczej bezbruczu, dwa razy wpadając po kolana w wierchniedurnowskie, nieschnące od Napoleońskiej inwazji błoto. Przy restaurancie śmiało zatrzymał się tuż przy zaśniężonym oknie, okrytem sopłami lodu, a jednak brudnem co się wlezie. Wspiął się na palcach, szyby przetaił czystą, a nawet zaperfumowaną chustką i spojrział w głąb: Michał Maxymowicz siedział jak zwykle przy swoim stole, ale sam, namarszczony, zły, czerwony jak ćwikła.

I ot właśnie, jak naobstalunek, zrywał się z miejsca i dopada małego chłopaka, widocznie winowajcę, i zaczynał tłuc po swojemu, obficie, serdecznie bez pardonu. Płacz, wrzask, przewracanie stołków, kufle tłuką się w miazgę, nieszczęście gotowe; ale widowisko jest jak się patrzy i ruch i życie i swoboda.

Niestety, ktoś właśnie otwierał drzwi szklane, na schody buchnęła w pustą ulicę chmura śmierdzącej gestej ciepłej pary i zaduchu. Ilja Jegorowicz podniósł kołnierz bogatego futra i pomknął szybko naprzód. Tego wieczora do „Maison Dorée” już nawet nie zaszedł. Nie byłby nerwowo zniósł tej sztucznej ceremonjalnej atmosfery, zobaczywszy znów pełne, szczerze mocne życie i mocnych ludzi nie mówiąc już o mocnem piwie, jakiego w „Maison Dorée” nie podaliby mu za żadne skarby świata jakóże z konkurencji.

Ale na dnie duszy legł się u Tielegi bunt i protest przeciw temu, gwałtem sobie przez grymaszącą Duszeńkę narzuconemu towarzystwu „Dobremu towarzystwu” — hahaha! Co jemu z dobrem towarzystwem? Napluć jemu na całe dobre towarzystwo i na cały Maison Dorée, napluć i tyle. I żał mu się czysty serdeczny żał zrobiło tego osamotnionego, opuszczonego przez wszystkich Michała Maxymowicza, żał, że on tak sam tylko grzmoci swoich malczyków i bez widza godnego, bawi się i porządek trzyma! Od dola ludzka sobacza. Na co mu to przyszło takiemu bogaczowi, takiemu potentatowi! Bez towarzystwa ludzkiego. Przykro pomyśleć. Biedne Szwabisko!

Tymczasem nadchodziły i święta Bożego Narodzenia. Olga Nikiforówna, jak to ona zawsze wszystkim co niewyczażne, świętalne, piękne, ekstra ordynaryjne podniecona, chciała tym razem oczywiście najniepotrzebniej urządzić małżonkowi święta wprost nadzwyczajne.

By mu tylko okazać wdzięczność za przejście do porządných ludzi, biegała po mieście i biegała, skupywała co nie bądź, byle jodelka była piękna, prezentów moc, a kolacja wigilijna wytworna. Nie słuchając doktora, który przestrzegał przed uganianką i umęczeniem, wracała codzień do domu zziązana, zmachana, dźwigając pudła i pudeleczka, pakiety i zawiniątka. Na tem łachaniu zbiegły jej ostatnie dni aż do wigilijnego.

Tego to dnia Ilja Jegorowicz wstał niezwykle wczesnie. Był jakiś dziwnie zamknięty w sobie, w milczeniu zacięty, namarszczony i kolczasty, że bracie nie przystępuj bez kija. W sklepie pobyl krótko i jakby tylko dla formalności. Dla formalności też jakoby wybił jednemu z młodszych subjektów trzy zęby frontowe, a dwie damy targujące

się w takim ścisłym wigilijnym o cenę maku zwy-  
myślał całkiem po matczynemu, po staremu. Przed  
jedenastą już wyszedł na miasto i wolnym krokiem  
potoczył się tak coś nie coś w stronę kolei, w stro-  
nę Sobornego Placu, no i co to prawdę objawia-  
jąc bawełnę, w kierunku Małej Petersburskiej.

I oto stało się, że właśnie na Sobornym Pla-  
cu, tuż około studni, świeżo pięknie na zielono po-  
lakierowanej ale zepsutej, szedł naprzeciw niego  
prosto dziób w dziób nie kto inny, jak sam we  
własnej osobie Lew Abramowicz.

Nie było już sposobu ominąć go, tak szedł  
w ręce, ramiona szeroko rozstawił i uśmiechał się  
wesoło, serdecznie, głośno, jak przystało na szcze-  
rze rosyjskiego człowieka, choć tam z pochodzenia  
gruzina, karaitę czy coś takiego. Widocznie albo  
znów na chmielu oznął kogobądź a może wyłowił  
gdzieś nowe dziewczuszki.

Coś tam w każdym razie nowego miał. Ale co?

— Pozdrawiam ja was z dobrą nowiną Ilja  
Jegorowicz. Tak dawno, tak dawno. Pożal się Boże!  
auf mejne munes!

— Bóg z wami Juduszka. I mnie za wami za-  
tęśniło się, że niech czort weźmie.

— No ale wreszcie my znowu razem.

— A razem. Jak bywało ha, ha, ha!

— To i partyjka może się zrobić? I panienki  
jakie. Kto wie? Pohulamy po staremu, jak Bóg  
przykazał.

— A pewnie, że pohulamy. Niczego!

I rozmowa potoczyła się żwawo, gorąco o tem  
i o owem, o wszystkim, jak to bywa między sta-  
rymi druhami, co to moc mają sobie do opowie-  
dzenia o ludzkich i swoich wadach i sprośnościach  
a dawno się nie widzieli, przypadkiem jeno losu

rozłączeni. Z nikim bo też tak się swobodnie nie  
gwarzyło, jak z tym Lwem Abramowiczem.

Bywało, że i naurąga mu Telega i nałaje or-  
dynarnych słów i epitetów a Lew Abramowicz,  
jako że bywalec, światowiec wszystko puszcza mi-  
mo uszy i jeszcze się uśmiecha i wdzięczy. Tak  
też i teraz, odrazu się do Tielegi przytulił przyjaź-  
nie a przy końcu Sobornego już szli obaj pod rę-  
kę, jakby się wczoraj dopiero rozłączyli. Chicho-  
cząc co się wlezie i szeroko parskając z radości,  
zniknęli za węglem domu, gdzie stara apteka  
i gdzie się zaczyna nieprzebrane błoto Małej Pe-  
tersburskiej ulicy. A za nimi jakby smuga jakaś  
swobodnego obyczaju, starej zażyłości i szerokiego  
życia bez ceremonji, bez przesądów, bez ...sandwi-  
czy i białych obrusów.

Atoli tak to już bywa na tym świecie, po-  
dobno Bożym świecie, że gdy w jednym miejscu  
jasno, to w drugim ciemno, gdy w jednym płacz,  
w drugim wesele, na pierwszym piętze stanęła ci  
bracie w salonie trumna wśród zieleni, a na dru-  
giem właśnie w tej porze przychodzi na świat no-  
wy członek społeczności, może i wielki obywatel,  
sława, figura, senator! Tak też i w domu Ilji Je-  
gorowicza przychodził pod ten czas na świat no-  
wy obywatel Wierchniedurnowska, ale niestety nie  
z weselem i radością, bo przychodził cokolwiek  
zawczasem. Biegała Olga Nikiforówna po mieście,  
biegała, aż się wreszcie i dobiegała nieszczęśliwego  
przypadku. Szczęśliwa, rozpromieniona, dumna  
szła sobie biedaczyna po schodach zadyszana ale  
szła za prędko. I oto jeden krok, jeden fałszywy  
krok i nieszczęście gotowe! To co miało być ko-  
roną żywota, dumą, szczęściem, spadkobiercą Ilji  
Jegorowicza, jego familji, jego interesu, to co mo-  
gło być w przyszłości chlubą Wierchniedurnowska

może całej gubernji, ba, może nawet całej imperji, to przyszło na świat, ale nie w porę i nieżywe! Biedną, omdlałą Duszeńkę położono do łóżka. Małe dziewczynki wylękle, przerażone, z niczego sobie sprawy nie zdające zamknęto w stołowni na klucz przy upstrzonej świecidełkami jodełce. Dziobatego parobka Aljoszę posłano zaraz do Maison Dorée po pana a dom cały napełnił płacz, lament i zawođenje sług, kumoszek, sąsiadek.

Tymczasem pan domu przepadł gdzieś jak kamień w wodę. Wieczór już zapadał na Wierchniedurnowsk, wieczór uroczysty, mroźny, wigilijny; ale dziwnie bezgwiezdny. W górze tak było jakos ciemno, jakby i nieba nie było i Bóg się gdzieś ukrył w ciemnościach a trzy gwiazdki be-tlejemske ze służby nawet odwołał. W oknach co bogatszych rodzin widać było zapalone już świeczuchny u jodełek. Ostatni zapóźnieni obywatele wracali pośpiesznie do domowych ognisk, obładowani prezentami i fruktami. Tylko u jednych Tielegów w oknach było ciemno i nieprzyjemnie. Pola i Gruzia skuczwały w stołowni skulone pod drzewkiem. Papaszy zaś jak nie widać, taknie widać. Stary doktor odjechał na klekocącym wózecku, zaleciwszy jeno spokój, spokój i jeszcze spokój i jeszcze spokój. Za parobkiem Aljoszą wysłano sługi: jedną, drugą i trzecią, aby szukały zguby drogocennej po znajomych kupcach u przewielebnego popa, w zajezdzie naprzeciw foksalu, na samym foksalu kolejowym, wszędzie. Nikomu jednak nie przyszło nawet na myśl, żeby go szukać gdzieindziej, żeby go szukać... gdzie dawniej.

Olga Nikiforówna leżała cichuteńko w swoim łóżku biała, jak najlepsza, najdroższe mąka, ale spokojna i pewna siebie mimo wszystko. Nieszczęście się stało, ale winy niczyjej nie masz. A Ilja Jego-

rowicz, jeżeli się tam zawleruszył potężnie, to bądź co bądź przebywa w porządnem już towarzystwie. Może się tam i uchlał, jak to mówią do białego kolana, ale w każdym razie w Maison Dorée. Jeżeli tłucze coś, to ostatecznie może nawet japońskie wazy. Jeżeli rzuca widelcem to trafi, ale w te ładne sztychy. Ale w każdym razie nie zjada jakiejś tam kulebiaki, ale pięknie nazwane francuskie smakołyki. A jeżeli nawet zaczął tam jak często po pijanemu tańczyć kozaczka, to bądź co bądź tańczy w amerykańskich butach a nie w tych ciężkich ordynarnych buciskach z cholewami. I biedna Duszeńka tłumiąc niegodziwe bóle w całym ciele i jakąś nadchodzącą dziwną mroźność uśmiechała się delikatnie w swem omroczeniu, marnując o Ilji Jegorowiczu, odwalającym dzikie przistudy ale w pomarańczowej sali, w Maison Dorée!

Zegar wydzwonił bezlitośnie godzinę dziwną. Kumoszki i sąsiadki odeszły już wszystkie do swoich ognisk domowych, smutne ale i nieco pocieszone tem, że to szczęśliwym trafem nie im się przytrafiło. U Tielegów było już cicho, jak przed czemś nowem... nieznanem... nadchodzącem...

I nagle z końca pustej już ulicy Małej Petersburskiej przedostał się jakiś krzykliwy, chrapliwy śpiew. Olgę Nikiforównę, raptownie oblał zimny pot złowieszczonego przeczucia. Zerwała się na pościeli, przysiadła, nasłuchiwała. Już już słyhać było wyraźnie, nienawistne Duszeńce, nienawistne do głębi serca zwrotki: „przepadaj moja tielega!“ Ileż to razy śpiewano tak z szyderstwa a niby wesoło jej mężowi, gdy przebrał miarę, zaczynał się awanturować, tłuc szkło i co pod rękę popadło, niszczy wszystko i wszystkich a potem opadać na kolana z płaczem i skomleć i przepraszać i całować podłogę, ziemię, błoto, błoto... nawet.

Nadludzkim ale kobiecym wysiłkiem zerwała się Olga Nikiforówna z pościeli i stanęła na ziemi. Nadludzkim wysiłkiem zrobiła pierwszy krok, drugi, trzeci. Do okna, do okna, do okna na świat... co się na Boga dzieje? I slaniając się i chwytając kurczowo powietrza dowiekła się wreszcie do okna. Wesoly, potępieńczy śpiew stawał się już bardzo, bardzo bliski. Wyraźnie słyhać było trzy głosy: jeden mocny bas, jeden alt, jego alt i jeden falset ohydny, chrypliwy, fałszywy, ale najbardziej górujący nad tamtymi. Rozpoznawała już dokładnie: Michał Maxymowicz. Ilja Jegorowicz i... ten... palec dostawca chmielu... stręczyciel kursistek... obrońca swobody w obyczaju... Lew Abramowicz.

Dygocąc, spotniała ręką schwyciła się futryny okna i obłądny przesywający, w ciemnościach widzący wzrok wysiła w noc wigilijną. Jedna tylko latarnia naftowa paliła się, ale i ta już konająca gdzieś na rogu ulicy. Gwiazd nie było ani śladu. Środkiem ciemnej ulicy zataczały się trzy jakieś bryły ludzkie po brudnym, topniejącym śniegu, wywijające laskami, w rozpiętych futrach, z czapkami na bakier, zawodzące ohydą melodię w niebogłosy... Dwaj obcy podpierali środkowego, który co chwila opadał i chciał klękać na oba kolana w błocie—był w błocie. Już bowiem był ze „swoimi dawnymi“ Ilja „Muromec“. Już...

W tej chwili właśnie w cerkwiach zahuczały wszystkie dzwony. Najpierw ten u świętego Mikołaja Cudotwórcy jęknął przeciągle. Potem kolejno inne...

I jęknęła też cicho padając z łoskotem na ziemię Olga Nikiforówna.

Serca dzwonów bowiem są wytrzymałe, ale serca ludzkie, jak się zdarzy które szlachetne, to słabe. Biedna Duszeńka!

## METAMORFOZY GRACJANA PYŁKA

Kilka tygodni temu a mianowicie w ten pamiętny dzień, kiedy to jaja (zawsze od kury mędrze) skoczyły znów nagle i niespodziewanie w cenie nie osadzone w miejscu przez żadnego domorosłego Kolumba. kilka tygodni temu, a akurat w ten feralny dzień, kiedy to poraz pierwszy znowu od roku dolar w Berlinie skoczył sobie na metr w górę, więcoc zwyżście w Warszawie zaraz o milimetr, kilka tygodni temu, kiedy przy stosunkowo pięknej jeszcze pogodzie zaczął padać „Polmark” a „Parowóz” „Pustelnik” i „Szachrajowice” szły w górę, kilka tygodni temu, więc stosunkowo nie tak dawno spotkał mnie ni stąd ni zowąd znowu nieprzyjemny afront.

Kiedy wracałem sobie spokojnie do domu właśnie wprost z tajnej parady wojskowej trzeciego korpusu ulopków (U. L. O. P. P.), w parku Łazienkowskim odbytej i przechodziłem obok „Wytwórni Sztucznych Kwiatów” Gracjana Pyłka i Spółki, stojący jak zwykle na progu w rozwartych drzwiach posiadziciel nie... uklonił mi się.

Mało tego.

Nietylko nie uklonił się, jak zwykle uprzejmie i kordjalnie, ale ostentacyjnie odwrócił głowę wprost w przeciwną stronę.

Niejednego by to ubodło i zgryzło, ale znów niejeden jest z tem znowu oswojon. Zależnie bo-

wiem od zaćmienia horyzontu polityczno-partyjnego (a obecnie horyzont ten bywa często zaćmiony) pocziwe ludziska zawsze odnoszą się do ciebie albo tak albo owak i na opak. Jedne i te same rodaki, albo chcą cię całować z dubeltówki albo gotowi za miesiąc strzelać do ciebie z dubeltówki. Coraz bowiem bliżej w Polsce z Kapitolu, czy ze Spaty do Tarpejskiej skały. Zależnie od tego czyje górą, kto pod wozem a kto nawozem, zależnie od tego, jaki gabinet w tym miesiącu siedzi w gabinecie, lewy czy prawy, biały, czerwony czy zielony, dziś ci biją brawo, jutro krzyczą na ciebie: bravo! dziś ci wyczyniają owację, jutro rabację. W piątek misera plebs contribuens et profanum vulgus obrzuca faworyta rozkwitłymi różami, w sobotę t. j. mówiąc po aryjsku w Szóstek ci sami tego samego gotowi gnijącymi jajami ukamienować. Bodaj to być nienormalnym człowiekiem w takich czasach! Normalnym to spokój. Ale też i nuda.

Do „fluktuacji w orientacjach“ współczesników można się tedy przyzwyczaić i na te kaprysy mobu snobów poprostu sobie gwizdać zważywszy przytem na ten przykład, że i „Polonia Devaluta“ pierwszej klasy obnoszą często na sobie róże klasy czwartej, które od pięciu lat właściwie na dożywcie skazane mieszkać powinny gratis w kryminale, panis bene merentium jedząc i wodą popijając.

Do afrontów tedy ze strony ojczymizny i rodaków i t. p. człowiek od wybuchu niepodległości przywykł. Nemo propheta in sua paraphia i basta. Wszystko w porządku.

Afront atoli ze strony Gracjana Pyłka cokolwiek mnie jednak zastanowił. Co się stało? Czyli gdzieś coś negatywnego napisał o kim bliskim Pyłkowi? Czym nadeptał gdzieś na Achillesową piętę Pyłka którego? Czym gdzieś zdmuchnął znów

jakiś rozdęty polski Pyłek? Czym przypomniał znów gdzieś komuś wielkiemu, że pyłkiem jest i w pyłek się obróci, a pan Gracjan to najspecjalniej wziął do siebie? Trzeba to będzie jednak z czasem w wolnym czasie zbadać do gruntu i dotrzeć do korzenia względnie do jądra tej tajemnicy.

Z panem Pyłkiem łączył mnie najpierw stosunek długoletniej nieznajomości, co prawda tylko jednostronnej. Ja bowiem wiedziałem kto zacz, on zaś nawet nie domyślał się co za jegomość przechodzi mniej więcej codzień o pewnej godzinie systematycznie koło jego „Wytwórni sztucznych kwiatów“ na rogu brudnych ulic Srebrnej i Złotej.

Powoli stosunek ten dość obojętny pewnym zaczął ulegać modyfikacjom, polegającym głównie na wzajemnych, głupowatych ale życzliwych uśmiechach. Poczem przeszedł już w uprzejme kiwanie sobie głowami, wreszcie zupełnie przypadkowo nastąpiło dwa lata temu nasze obopólne zapoznanie, i to w warunkach wprost niesłychanych i nad wszelki wyraz nieoczekiwanych. Mogłem raczej spodziewać się, że poznamy się kiedyś nawet w kraterze Wezuwjusza lub w kajucie aerostatu jadącego z Kopenhagi do Hagi... jak... tam!

Stało się to bowiem na wielkich jesiennych manewrach konspiracyjnych trzeciego korpusu U. L. O. P. P. (Unji Lig Obrony Pogotowia Patrjotów) w lesie między Konstancinem a Skolimowem!...

Ku niesłychanemu swojemu zdumieniu spostrzegłem, że honorowym plutonowym w oddziale B, trzeciej kompanji „miotaczy płomieni“ jest ni mniej ni więcej tylko... pan Pyłek, posiadziciel Wytwórni kwiatów sztucznych z rogu ulicy Srebrnej i Złotej. Zadaniem właśnie jego kompanji w próbnym manewrach było opanowanie w kwadrans czasu jakiejś miejscowości o równym terenie np.

Pacanova, Kiernozi bez uszkodzenia mieszkańców. Kompanja Pyłka dokonała tego z niesłychaną sprawnością. Mnie zaś przypadł w udziale zaszczyt obdarowania po manewrach plutonowego Pyłka najwyższą oznaką faszystów sarmackich tj. srebrną różdżką ze złotym kutasem.

I stąd znajomość. Był to więc „nasz człowiek” nasz członek co się zowie, co się zmieści, oddany idei kompletnego „przewrotu wstecz”: duszą i ciałem. Ciało zaś tego było stosunkowo bardzo dużo, gdyż Gracjan Pyłek był okazem wyjątkowej korpułencji i mógł ważyć jakieś trzysta kilo żywej wagi.

Od tego to pamiętnego dnia kiedyś, z wysokiego konia siwego otoczony sztabem ulopków podawał różdżkę a potem rękę zwycięskiemu Pyłkowi, stosunek nasz przeszedł w fazę serdecznej zażyłości. On mi się kłaniał, ja mu się odkłaniałem, od czasu zasiać do czasu wstępowałem do sklepu na krótką gawędę. Kupować nigdy nic nie kupowałem, gdyż pogład mój na sztuczne kwiaty, jest mniejwięcej taki, że wolę prawdziwą pokrzywę od sztucznej orchideji a najkunsztowniej spreparowany storczyk sprawia mi mniej satysfakcji od wiednącej koniczyny. Nie wypada atoli zatajać, że „Wytwórnia” Gracjana Pyłka, doszła w swych preparatach i namiastkach do wysokiej perfekcji i precyzji; z jedwabiu, muślinu, aksamitu, organtyny i tp. sześć dziewic w izbie za sklepem wyczyniało istne złudy prawdziwego kwiecia oczywiście pod mistrzowskim okiem pryncypaszy czy pryncypała. Na gawędy te wstępowałem, trzeba to jednak szczerze wyznać, nie bez pewnego grubo osobistego interesu. Nie tyle czystym sentymentem kierowane zbaczały moje nogi do wytwórni Pyłkowej, ile żądzą wiedzy, pouczenia się, poznawania do głębi psychiki normalnego typu człowieka przypadkowo i przygodnie

w służbę ideom wielkim wciągniętego. Z biegiem miesięcy personalja i morfologia Pyłkowa były mi już dokładnie znane. Był starym kawalerem. Z nałogów i namiętności miał tylko trzy. Dominujące było: domino. Należał do klubu dominosów t. j. ludzi z XX wieku a wbrew temu wszystkiemu grających całymi godzinami „na górcie” w cukierni w... domino. Stukali tam sobie po trzy, cztery godziny kościanymi tafelkami rozmawiając przytem o aktualnych dolegliwościach żywota rozmaici tacy z tego quartier mieszkańców. Jakis pan Dulski, pan Bidulski, pan Cedula, pan Drygała, jakis pan Gulon, pan Mazurkiewicz, Kwiatkowski i t. p. z tych nazwisk, co to idą całymi stronami w telefonicznej księżce. Jak bywają w Warszawie tuż przy domach siedmiopiętrowych przy pryncypalnych arterjach domki parterowate i Biedermajerskie, tak są jeszcze formacje socjalne grające w domino. Mój Pyłek grywał całe popołudnia.

Przedtem i potem chadzał zwykle na swój wtóry nałóg tj. 4% alkohol w piwie konsumowany. Trzecim była łapczywość na anegdoty masne i pieprzne, które wyłudzał od znajomych pod różnymi pozorami i sam również starając się z rewanżem opowiadać im swoje i utykając zwykle w samym środku narracji. Czwartym nałogiem, nadetatowym niejako i odświętnym i uroczystym była.. Polska.

Temu ostatniemu dawał folgę przez patriotyczne narzekanie i utyskiwanie oraz przez wizerunków wielkich współczesników w oknie wystawowym misternie w garnirunku sztucznego kwiecia na widok publiczny umieszczanie. Kolejno co miesiąc szli w okna między kapryfolje i berberysy marszałkowie, prezydenci, senatorzy, wodzowie, deputowani. W ten uroczy i dyskretny sposób ma-

nifestował się Gracjana Pyłka „heroworship“ — kult bohaterów, a dla wielkoludów bieżącej ery i manjery estyma pod korcem nieskrywana. I tu trzeba jak z jednej strony przyznać, że wśród wystawionych ku adoracji przechodniów wizeronków przeważały w olbrzymim procencie konterfekty Sarmatów z oblicza i z ducha, tak z drugiej strony nie można zataić z reminiscencji z lat dawnych, że też zakradły się wśród sztuczne kwiecie wystawowego okna i twarze dwóch czy trzech a może nawet tylko jednego patrona Polaesyonji... W dwóch atoli latach ostatnich na oknie figurowali już „sami swoi“ a stosownie do tego oczywiście i koloryt naszych przygodnych pogawędek był zdecydowany amarantowy, ze strony Gracjana Pyłka nawet agresywnie lechicki, aczkolwiek należy nie ukrywać tego, że przy introspekcji mocniejszej i skrupulatniejszej w integralności patriotyzmu Pyłkowego można było dojrzeć pewne skazy, pewne dziury na całym, pewne plamy na słońcu. I rzecz zupełnie nieprawdopodobna a jednak prawdziwa, że skazy te można było dostrzedz nawet gołym okiem bez mikroskopu skoro dominus od domina Gracjan bezpośrednio był pod wrażeniem a raczej pod urokiem... piwa... Widocznie więc ten drobny procent alkoholu i to nie w winie (demaskującym najistotniejszą naturę ludzką) ale ostatecznie w dość wulgarnym narkotyku, jakim jest piwsko działał na tego wytwórcę sztucznych piwonji i georginji w sposób wątlący i destruujący mocarność i krzepkość jego wierzeń i ideałów.

Objawiało się to mniej więcej w ten deseń, że tego dnia, kiedy np. w Barze pod „Zagłobą“ pan Pyłek Schielego i Haberbuscha jasne odwary wchłonał w siebie w potężniejszych rozmiarach, zagabywanie mnie, przechodzącego jak zwykle koło

jego „Wytwórni“ po pierwszych frazesach przywitania zaczynało się mniej więcej od tego:

„Dawno już pan szanowny nie wstępował do Pyłka... O nieładnie... A miałbym dużo do opowiadania... Czytaliśmy, czytali, a jakże, na głos... świetnie, świetnie! Tylko swoją szosą proszę szanownego pana jak to będzie bez tych Niemców to jednak trudno przewidzieć. Na ten przykład z piwem. Dzisiaj nam dali eksportowe Haberbuscha i Schielera, że palce lizać. Coby to było, gdyby Niemcy nie nauczyli kudości europejskiej takie piwo warzyć? Niech to ta który z naszych poprobuje! Albo i pilzneńskie, a bawarskie... a Culmbach... Francja Francją ma się wi, ale nie każdy ta znowu wina amator, poczem i drogie i do nóg i do głowy lezie! A Haberbuscha czy Schielera to człowiek leje i leje, bo to i chłodne i gazek swój ma nieszkodzący... Dużo, dużo świat ziemski takim Niemcom zawdzięcza różnych rzeczy takich. Na ten przykład organtyna do moich kwiatów. I najlepsza i najtańsza od Niemiaszków. No niech pan szanowny sam powie. Jak tu bez niemieckiego towaru? Wszystko co od Niemców mamy najlepsze: Ja ta Prusaków nie cierpię bo i nie cierpiałem od maleńkości, to ta wszyscy wiedzą, ale trzeba oddać zawsze co się komu należy, co carskiego carowi a co do Haberbuscha to jak Bozię kocham nie ma z nim konkurencji żadnej. Szelmy te Niemcy bo szelmy, ale co tam potrafią wszystko, to im ta przecież odmówić nie można...

Monolog taki coraz bardziej egzaltowany zdradzał więc niebacznie a jawnie, że orientacje Gracjana Pyłka pod wpływem i naciskiem nawet niebardzo zasadniczych czynników i motywów ideowych i moralnych, podlegały dość łatwo mocnym fluktuacjom... metamorfozom i fazom.



Raz naprzykład, kiedy do „Baru pod Zagłobą” przyszedł większy zapas ciemnego portera żywieckiego, arcy arcyksiążęcego, dało się to w kilka dni zaraz odczuć nadspodziewanie i w dywagacjach ideologii politycznej dominosa Gracjana.

...Mój szacuneczek, mój szacuneczek. Czytaliśmy, dziękujemy... Wszyscy za panem jesteśmy jak jeden mąż, cała górka w cukierni. Na dominosów to pan szanowny liczyć może jakby co do czego przyszło, jak na Zawiszę. Ławą, ławą za panem. Ale pod „Zagłobę” to szkoda wielka, że pan szanowny nie zagładnie. Sami swoi, bo to swój do swego, jak się patrzy, no i poprawiło się wszystko i kuchnia i służba i porcje... Ale prawda zapomniałem, ja proszę łaskawego dobrodzieja o coś zapytać, o pewną kwestję o pewne że tak powiem...

...Śmiało panie Pylek.

...Arcyksiążę na ten przykład ten ze Żywca czy tam jeszcze żyje?

...A żyje... A dlaczego to pan Pylek właściwie?

...A bo proszę łaskawego pana, tak sobie pomyślałem niby tu z naszą republiką... Coś tam czasem człowiekowi do łba strzeli... takie myśli rozmaite i takie kombinacje. Sprowadziłem teraz do fabryki z tego Widnia jedwabiu ponsowego na maki... Pierwsza klasa paniedziejski, pół taniej jak tu w samej Warszawie z portem razem... No albo ten porter...

...Jaki znów porter?

...Żywiecki, żywiecki! a to palce lizać. Toż takiego ani za Moskali nawet nie było!... delicje prawdziwe delicje. Skąd takiemu arcyksiążęciu przyszło takie rarytne piwo wyrabiać. Taki pan, magnat przecież z carskiej rodziny a do interesu, do handlu się wziął i zarabia. Przykładby z niego

nasze hrabiowie brali, jak to taki arcyksiążę i do tańca i do różańca... I zdaje się nie luter tylko nasz? prawda? rzymski.

...Rzymski. Eia, Eia! A la la!

...A no więc... Tembardziej. Czasami, czasami to... tylko niech się szanowny dobrodziej nie zgniewa, ale ja wolę nie zatajać co myślę a myślę właśnie w tej materji, że kto tam wie właściwie czy tam rację nie mieli właściwie ci, co to niby chcieli na króla właściwie tego właściwie arcyksiążęcia ze Żywca... Kto ta wie jakby tam było poszło, może z nim?... zawsze przecież i z naszymi spokrewniony, po polsku mówi expedito... Możeby i taniej wszystko było... Kto tam wie?... Gotów przecież był! A nam co z tą republiką... W całej Polsce by się nauczyli robić taki porter ciemny... A tak...

I monolog taki coraz bardziej egzaltowany zdradzał znów niebacznie a jawnie, że orientacje Gracjana Pylka pod wpływem i naciskiem nawet niebardzo zasadniczych czynników i motywów moralnych i ideowych podlegały dość łatwo mocnym fluktuacjom, metamorfozom i fazom.

W każdym jednak razie generalnie, summarycznie, z perspektywy lotu ptaka biorąc pan Pylek bądź co bądź mocno i oburącz trzymał się sztandaru lechickiego. A już choćby czynny jego współdziałal w tajnych organizacjach U. L. O. P. P. (ulopków), wysoka ranga plutonowego w kompanji „miotaczy ognia” wskazywały chyba dobitnie z jaką namiętnością miłuje on ojczyznę nawet przy jej republikańskim ustroju, o ile oczywiście w tych warunkach gospodarczej depresji „Wytwórnia sztucznych kwiatów” znośnie prosperuje, a ceny piwa „pod Zagłobą” nie skaczą w górę z zawrotną szybkością.

Nieposzlakowany sarmatyzm pana Pyłka wykazywał też dość plastycznie jego uczuciowy stosunek do naszych mniejszości narodowych to jest do tych nielicznych Tatarów i Turków, których dla zapobieżenia raptownemu rozplądaniu się doradzał często poprostu kastrować czyli jak się wyrażał: wafaszyć; dopiero z wałachami możemy dojść do porządku mawiał w przystępie dobrego humoru.

W stosunku zaś do mnie był wprost zniewalający, gdyż manifestował stale tę ufność, wiarę i nadzieję, jaką w odległych stronach państwa, tam gdzie jeszcze niema szyn kolejowych, gdzie sioła i osiedla w patryjarchalnym bytują okresie, żywią owieczki do swego pasterza a parafianie do swego proboszcza. In rebus politicis byłem dlań nie rebus ale oraculum. Pytją, która choć wyrażała się często zawile, w krytycznych momentach zawsze wszystkie gordyjskie węzły przecinała, jeśli nie mieczem to angielską giletką.

Można tedy sobie po zapoznaniu się z tymi antecedencjami łatwo chyba wyobrazić moje zdumienie i osłupienie, gdy właśnie niedawno, w momencie historycznym, gdy marka polska znów zaczęła spadać w dół a dewizy zagraniczne ulatywać w górę, gdy jaja (zawsze mędrsze od kury) pewnego pięknego poranku stały się objektem luksusu, pan Gracjan Pyłek zawsze tak uprzedzając uprzejmy nie tylko nie uklonił mi się z gracją ale z grandezą odwrócił głowę w wprost przeciwną stronę tak demonstracyjnie i ostentacyjnie, aby we mnie zniszczyć odrazu ostatnie illuzje co do tego, że może być to tylko przypadek lub chwilowy nastrój lub kaprys. Aby się raz jeszcze stanowczo upewnić co do tego radykalnego zwrotu uczuciowego, przystanąłem na chwilę przed wystawą, dając Pyłkowi ostateczną sposobność do opamiętania się.

I wtedy zaszło coś straszliwego.

Nasz Pyłek, nasz Gracjan, nasz oto człowiek, z brutalnością godną jakichś chyba hurtowników czy radykałtunów zwolna odwrócił się na swej olbrzymiej pięcie i przekroczył własny próg, na którym stał i wszedł do sklepu, zatraskując za sobą szklane drzwi z takim impetem, że cały omal dom dominosa zatrzęsł się w swych kamiennych posadach.

Wątpliwości więc nie mogłem mieć już żadnych. Stałem przed wystawą wprost jak wryty, z nogami jakby przygwożdżonemi do kamiennego trotuaru. I wtedy dopiero wzrok mój padł na wystawę Wytwórni. I teraz w oczach mi nie pociemniało ale... poczerwieniało. Wizerunku, wizerunku któregoś z naszych wielgoludów karmazynowych nie było żadnego, literalnie żadnego. Ani żaden wódz, ani trybun, ani kaznodziej, ani żaden Colbert, ani Cromvell, ani żaden Wallenstein, ani Wallenrod. Puste miejsce. Vacuum. Vacat. A dokoła tego vacuum sama czerwień i i czerwień, coprawda sztuczna, zrobiona, ale czerwień. Czerwone olbrzymie maki, krwawe tulipany, ponsowe róże, szkarłatne georginje, piwonje krasne, purpurowe kamelje, azalje, sama czerwień czerwona lub czerwieniejąca. Co u licha ciężkiego? Zwarjował taki Pyłek czy co? Czerw mu jakiś przegrywał mózg, że tak rozczwienił swą szmaciarnię? Leby choć jeden kwiat w innym kolorze. Żółty jaskier, modry bławat, niezapominajka, złocień jakowys? A tu nic, czerwono i czerwono. I dawniej czasami bywało krasno ale amarant przeważał. No i zawsze był jakiś wizerunek któregoś nieśmiertelnika, któregoś Kafjasza czy Annasza na miarę Fidjasza! A teraz? ani wizerunku, ani żadnej białości? Coś to znaczy! Coś w tem jest! Coś się za tem kry-

Je! Tu coś zaszło! To nie bez kozery. To trzeba zbadać. Gracjan Pylek to nie jest jeden Pylek. Rodzina duża, rozrodzona, rozmnożona! Takich Pyłków są krocie, stokrocie! To nie jest indywiduum, to nie jest collectivum to jest multum, non multa sed multum. Z takich Pyłków składa się skorupa ziemska. Każdy z nas jest poniekąd Pyłkiem, a niejeden zaiste, któremu się też zdaje, że jest głazem, Pyłkiem jest... jeżeli go Los czy Dola do muru przycisną...

Trzeba więc dotrzeć do gruntu tej demonstracji w oknie „Wytworni Sztucznych Kwiatów”. Nie bez głębokich racji i motywów dominus Gracjan skasował adorację wybitnych w narodzie mężów, wdowców i kawalerów orderu „Sarmatia Dewaluata” z mieczami. Nie bez ale i ale gorji zaczerwieniło się wszystko i zakraśniało w oknie, a białogwardyjskie kwiecie z atlasu i perkalu zniknęło bez śladu!

Coś w tem jest?

I kiedy tak jeszcze rozmyślałem stojąc z oczyma wpatrzonymi w szybę, na której z boku błędny ale z serca napis:

„On parle francois” (sic)!

Nagle przed sklepem cicho podjechał, stanął i szykownie wrył się w makadam prześliczny, czarny, lśniący samopęd o błyszczących zwierciadlanych szybach.

I wraz otwierały się drzwiczki:

Z samochodu wychodziła pośpiesznie jakaś ciemno ubrana dama... w kapelusiku czarnym, w jedną ponsową, pyszną różę dyskretnie zdobnym.

Z zaciekawieniem spojrzałem bliżej.

Pani Rothblum Pani Róża Rothblum z domu Firlejówna, małżonka senatora Rothbluma.

I w tej chwili dostrzegłem, jak nasz Gracjan z gracją otwiera szeroko drzwi szklane i z najwdzięczniejszym uśmiechem, na jaki tego gatunku Pylek od sztucznych kwiatów zdobyć się może, wita swoją klientkę cały zgięty w pół, w lansdach i reweransach... No i co tu się dziwić Pyłkowi? Rothblumy, to nasze Rothschildy, a Roth Schild to przecież czerwona tarcza. Zaczem: który gdzie Pylek chce mieć w klienteli swej Rothblumów, czy Rotchschildów, musi mieć czerwone kwiecie na tarczy... na składzie. Podaż musi się stosować do pokupu. I co zaiste przyszłoby takiemu Pyłkowi jednemu z drugim, gdy wyrabiał kwiecie bielsze nad śnieg, jeżeli nie znajdzie na tę biel bogatych amatorów, a na czerwoności ięś znajdują?

Tak tedy byłem już na tropie, na śladzie, na linii „fluktuacji w orientacjach” Gracjana Pyłka. Alić za wygraną dać jeszcze nie chciałem. Ten samopęd przebogatej pani senatorowej, stojący przed sklepem, mówił mi wiele, ale jeszcze nie wszystko. Rzucająca się w oczy już z okna metamorfoza demonstrowana w tak narzucającej się predylekcji do czerwonej barwy, musiała mieć jakieś głębsze motywy i źródła. To nie był kaprys chwili, to był rezultat jakiegoś tragicznego procesu psychologicznego. To był rebus, zagadka, szarada, którą należało jednak rozwiązać i rozplątać. Aczkolwiek bowiem jak to już się można było przekonać ten Pylek, jak i wielu innych, bardzo podlegał bieżącym nastrojom i prądom, aczkolwiek i dla mnie właściwie był on, co to zatajać, głównie barometrem oportunistycznym ogółowego i niejako wkleśłem zwierciadłem, czy satanicznym przedrzyżnieniem naszych wspólnych orientacji socjalnych czy politycznych, czy etycznych, czasami nawet ich para-

frazą, parodią i karykaturą, no to jednak wprost niemożliwym mi się zdało, aby ten nasz choć pionek ale i filar, choć szeregowy ale i plutonowy, choć szaraczek ale i szarża, w sumie jednostka koloru psychicznego skroś amarantowego, w tak raptownym tempie, jako te raki w ukropie, zmienił ubarwienie..

Z cienką nicią Arjadny... Rothblum, postanowiłem sobie tedy dojść do kłębka, do wnętrza labiryntu duszy przeciętnego Pyłka lechickiego.

W postanowieniu mojem utwierdziło mnie to jeszcze, że wśród Pyłka rodaczek i robaków analogicznej maści mogłem zauważyć już od niedawna i zarejestrować objawy pewnego oziębienia dla Amarantu wogóle, powolnego zatracania respektu, rewerencji i zbożnego kultu dla właśnie tych wszystkich opacznościowych mężów, których wizerunki dominus Pyłek przez kilka lat pakował na front wystawowego okna. Jakaś psychoza deziluzji szerzyła się nagminnie w zjadaczach chleba, w miarę tego jak chleb w Europie drożał, zamiast aby codzień spadał w cenie, wreszcie w dniu objęcia całej pełnej władzy przez Amarantowych, po prostu był rozdawany gratis na rogach ulic już krajany w kromki i smarowany smalcem, masłem, powidłem i kawiozem!..

Jak śmie coś drożeć, kiedy nasi nie drożyli się z objęciem władzy?

Jak śmie, marka Polski spadać teraz, kiedy naszym spadła władza na podolek jak głaz Syzyfa?

Dominus Pyłek nie był unikatem w takich fluktuacjach swych orjentacji. Pomruki, podkpiny, podjady, pomstowania i bluźnierstwa, szyzmy i odczepieństwa słyszano już w niejednym sklepiku, maglu, salonie, pralni, buduarze, na bulwarze, bufecie, fumoirze, w jatce, w poczekalni, gabinecie od

dyrektora banku, w garażu od szofera, w hangarze od pilota, w golarni od manikurzystki, w łazience od obywatela ze szczotką od wanny, w wagonie od konduktora, w agonji od umierającego, we dworze, na dworze, coraz częściej, coraz częściej, wyprane chemicznie z resztek dawnej wiary, nadziei i miłości... Teraz dopiero po tym afroncie, jakiegom bądź co bądź doznał ze strony człeczka, własnoręcznie przezemnie oznakiem srebrnych „róźdzek“ za męstwo cywilne pod gołem niebem ozdobionego, teraz dopiero zaczęły mi się tłumnie zgłaszać reminiscencje z tej samej dziedziny psychopatologii swołeczeństwa! Ileż to przykrych, cierpkich, kwaśnych, gorzkich i słonych maxym, aforyzmów zdań wersetów, powiedzonek, wygadań, wywnętrzań, wypnień, wyzegań miało się okazję słyszeć ostatnimi czasy! Ile pretensji nieuzasadnionych do Sannacjonalizmu!..

...Jak chłop rządzi to niech cham płaci..

...Gdzie tu mowa o miłości jak wszędzie te oszczędności!..

...Kiedym prosił pana guldena srebrnego zobaczył, tom się prawie rozbeczał..

...Każdy podatek dobry ale dla tego z naprzeciwwka..

...Znów wyższa taryfa? to rząd ta ryfa winien..

...Taki minister finansów dobry, o którym się nie mówi..

...Miało być wielkie państwo a jest dziadostwo..

...Ja myślał, że jak nasze przyjdą to i rubel wróci..

...Danina na djabła się zdała..

...Grunt to gruntowy ale nie my!

...Czyi rządzą, to powinni swoich od świadceń uwolnić..

..Jakby Polska była co warta, toby ta jej pożyczycyli.

..Obcym płacić to ta jeszcze rozumiem ale swoim?!

..I nie wstyd to nie wstyd, żeby rodzony rodak skórę z nas ściągał!

..Ta pani, to przeci nieboszczka Austria tak nas nie śrubowała..

..Jak trzeba tyle płacić, to ta już wszystko jedno z tem państwem..

..Przecież Chrystus powiedział, co cesarskie cesarzowi, nie? no a gdzie tu cesarz?..

..Ech wogóle z tą całą Polską, to się nie kalkuluje.

..Gadaj pan zdrów! inteligent! ale za dobrych czasów... 10 lat temu!..

..Obiecywali Bóg wi co, no i co? co z tego: nic!

..Każda partja ma partaczy i tyle..

..Ech wogóle z tym Amaranthem. Ilem razy stawał na rouge w ruletce, zawszem wygrywał!

..Nie taki czerwony czarny jak go biali malują..

..Prusakami też straszili a przeszło się..

..Niech ta już przyjdą i żydy. Wsio równo. Jeszcze Polska nie zginęła i zginąć nie może.

Takie i tym podobne i tym podobnych miliony, miliardy, biljony, tryljardy powiedzonek słyszało się tu i owdzie przypadkiem i naumyślnie, od samego brzasku do późnego zmierzchu i z powrotem od wieczora do siniego ranka.

I w tej to zadżumionej atmosferze dewaluacji amarantowej i w czas haussy jaj, bułek, cukru, węgla, wołu, osła i wszystkich rzeczy które jego są, musiała też w międzyczasie nastąpić i „fluktuacja w orientacjach“ naszego Gracjana Pyłka.

W każdym razie należało to zbadać. A dla zbadania należało obrać drogę najprostszą t. j. raz zająć do Wytwórni sztucznego śmiecia krasnego w godzinie, w porze, kiedy posiedziciel tkwi za ladą a klienci tkwią w domach. I tu przyparłszy Pyłka w cztery oczy do ściany zainteresować wprost: w czym rzecz?

Jak się rzekło, tak się i zrobiło. Pewnego pogodnego dnia jesiennego (bodaj to paniedzieju nasza jesień) (haussa na Lilpulsy, Polipy, Potaspole, Pacanów, Bank Rutha et Com., Szacherowice, Noblepol, Żydorowskie) kiedy można było mieć pewność, że pryncypał w budzie a klientki pokupowały już to co im tam do twarzy i rozeszły się — rzeźkim krokiem zdecydowanego na najdalsze konsekwencje podążyłem ku kwaciarni i przekonawszy się raz jeszcze naocznie, że na wystawie tylko czerwono a wizerunku żadnego swojskiego Leonidasa, Temistoklesa, Lykurga, Panurga, Solona, Peryklesa Djogenesa sam z latarnią by się nie doszukał, nawet drzwi szklane brutalnie pchnąwszy znalazłem się w samym środku zmetamorfozowanego Owidjusza.

Sklep był pusty.

W sytzbadzie kasy tylko siedziała straszliwie chuda, wysoka, żółta, konopiwłosa, przystarsza żyrafa centkowana i w prążki, która na mój widok odwróciła włochaty łeb w lewo i na przywitanie ziewnęła przeciągle chrypnąwszy jakieś grzeczne słowo.

..Zastałem pana Gracjana?

..Owszem nie.

..Przecież o tej godzinie zwykle tkwi?

..Tkwi ale w barze pod Zagłobą stary Sodomczyk.

..Cooo? Ktooo?

...Stary Sodomczyk! A co to pana dziwi? Mam inaczej powiedzieć? Młody Korsykanin może? Niedoczekanie wasze. Zagarnął z kasy trzydzieści milrajsów, popędził na piwko niewyleczalny trębacz! Tak zawsze teraz, odkąd zgarnia i zgarnia biljardy.

...Tak wam dobrze idzie business? Ho, ho! Nie myślałem.

...To źle, że pan nie myśliwy. Mało powiedzieć dobrze! Co to dobrze? I co to idzie? Jedzie, pędzi, gna! dobrze, świetnie, wspaniale! Już i kamienicę kupił Gomorczyk i teraz samopęd targuje pianino, gramofon, fonograf, folwark, ogród, włoka po miliardzie, oczywiście dolarami.

...Co pani mówi?

...Co pan słyszy!

...A domino?

...Jakie domino? Skąd domino? Skądby inflacjarz wziął teraz czas na domino? Już od wiosny do dominosów nie zajrzał. W południe na gieldzie, rano na fabryce, na Woli.

...Na Woli? Na Gieldzie? Co to za nowalje?

...Dla pana nowalje, ale nie dla nas! Cóż to pan nie wie, że stary na Woli wielką fabrykę założył?

...Czego? Na Boga żywego? Czego?

...Papierowych. Okazało się, że papierowe teraz lepiej idą. Papierowych kwiatów. Demokracja to demokracja. Atlas drogi. Szkoda czasu i atlasu. Tu jeszcze robimy po dawnemu, ale na Woli inflacja, co się zowie. Czterdzieści robotnic, 3 N.P.R., 7 „Wyzwolenie“, 9 P.P.S., 20 komunistek, 10 dziurkich, jedna chadoczka... W lutym wycygał stary z Pekakapicie trzysta milrajsów. Na monetę to będzie niby dwanaście tysięcy dolarów, weksle ino sobie wymieniał i zaśmiewał się do rozpuku. Wczo-

raj spłacił 90 dolarów, zaniósł Pekaosom. Tylko mu się bandzioch trząsał, tak się natrzasał z tej Polskil!...

...Ale też pani dobrodzika sarkastycznie o swoim pryncypale! Okropieństwo było dostać się na pani ozorek...

...A czy ja pana proszę, żebyś się dostawał na mój ozór?... Chce pan słuchać, to niech pan słucha, nie to nie. Ślubuśmy nie brali. Gdyby pan tak cierpiał na wieczystą fluksję, artretyzm, migreny i stołeczek fatalny na którym ja siedzę i ziębnę w tej kasie z tą pensją, toby pan także wierszami nie pisał ody o tym czarnopaskarzu!

...Czarnopaskarzu? jakżesz można! To chyba za silne!

...Za silne panu? Pan ma pojęcie o wyobrażeniu, co siła! Jeśli pan słysząc najłagodniejszy i najdelikatniejszy epitet, jaki mi się nadarza przypadkowo, definjuje sobie, jako wyraz siły? Czy pan wie co ten tępak z mózgiem wodogłowca zbił za miliardy na akcjach i reakcjach, na zwyczajach, zniżkach, haussach, baissach, kursach, rekursach, konkursach, demobilach, dewizach, deprecjacjach i dewaluacjach.

...Ale kto? Kto? O kim pani mówi do kroćset sto biljardów djabłów? Pylek?

...Tak panie! Ten pański Pylek! Ten!

...Plutonowy drugiej kompanji miotaczy ognia U. L. O. P. P.?

...Plutonowy Plutusa! pupil Pekakapuy, pasożyt państwa!

...Patriota?

...Patridjota ale Paskonji, nie Polskil! Od Haberbuschów zaczął. Piwo go natchnęło. Jednego dnia stały 900.000, na drugi 2.700.000. I poszło. Dziś pan całą paszczą. Dolary pod posadzką, fran-

ki za tapetą, manufaktura na składzie: atlas, jedwab, welwet, brokat, aksamit, krepy, fulary, tiule, kaszmiry, markizetty! tricotiny, no i wagony, wagony papieru, bibulek... Na sto lat starczy. Na całe XX wiek. Moglibyśmy olbrzymią oranżerję zrobić z papierowych kwiatów dla hołoty, dla gawiedzi, dla kresów, dla kolonji, dla mobu. Papierowe teraz idą. Papier teraz popłaca. Tylko papier! Pieniądz papierowy, dusze papierzaste, sumienia z tektury, serca z bibulek! „Och życie! życie! życie jakże jesteś teraz..

...Krótkie jak koszula „dziecka wieku“.

...Nie panie, długie, długie, jak tasiemiec jubilat! Wężłowate!.. Gruzłowate... Spiczaste. Kolczaste! Wrzodziane! Gruźlicze! Zaropiałe! Parszywe! Podskórne! Obskurne! Gruboskórne! Wodniste! Błotniste! Urwiste! Cierpkie! Lepkie! Jałowe! Kałowe! Skarlałe! Sparciałe! Astmatyczne! Weneryczne! Abroadabryczne! Apokaliptyczne!

...Czy pani już skończyła?

...Niekoniecznie. Ale jeżeli pan może się zdobyć na coś mądrzejszego, to mogę chwilę posłuchać zanim pana wyproszę za drzwi wobec tego, że pan nie kupuje ani za biljon, a wywiaduje się tu i kształci za tryljony.

...Pani przecież nie wie właściwie z czym ja tu przyszedłem, kto zaczął i w czym rzecz.

...Nietylko nie wiem, ale jest mi to śmiertelnie obojętne. Dziś pan jest, jutro pana niema, gdyż i pana może bądźco bądź trafić apopleksja na widok tego, co się dzieje i w kraju i zagranicą i prawdopodobnie na innych planetach. Demony zygają na globus i koniec. Demonokracje! Cały rebus w tem kiedy, kiedy to wszystko szlag trafi? Pan nie wie?

...Nie. Nie umiem pani objaśnić. W każdym razie nieprędko. Czasami atoli mam podejrzenie, że światopogląd pani przyciemnił się dzięki złemu stołeczki, na którym pani tu siedzi w tej oazie sztucznych kwiatów Pyłkowych. Niestety, objaśnić więc panią co do terminu tego nie mogę. Wzamięm za to atoli ja pragnąłbym pewnego wyjaśnienia..

...Słucham go.

...Od kiedy to obywatel Pyłek zachorował na czerwonkę?

...Pan pyta od kiedy w tym łbie, w którym raczej pstro było przez tak długie lata wszystko poczerwieniało? Od kiedy w nim deprecjacja waszego Amarantu? Od kiedy nie wyrabiamy już w naszej wytwórni ni gałązek puszystej delikatnej żółtej mimozy ni białych subtelnych narcyzów, ni fioletowych dyskretnych bratków, ni ceglanych chryzantem, a tylko wyłącznie krwawą posoką nakrapiane goździki i piwonje drastycznie olbrzymie i róże kolczaste prowokujące? bez zapachu, bez uroku, bez czaru, bez wdzięku, papierowe róże dla motłochu?

...Tak. Od kiedy „fluktuacja w orientacjach“ Gracjana Pyłka?

...Od wiosny. Kiedy mu przyszło płacić pierwszy podatek za ubiegłe lata i pierwszą grzywnę za fałszywe zeznania podatkowe i pierwszą daninę publiczną i pierwsze „przynaglenie od obrotów“ i pierwszą karę za pasek papierem! Od tego czasu inflaciarz dostał wodowstrętu. Dawniej mu była Polska za lewa, teraz za prawa, a ciągle nie w sam raz, ciągle nie do miary, ciągle akurat nie taka, jak ta wymarzona „wymazana“.

...Damned bist! Doggojeb!

...Co pan mówi?

...I speck english please! Ale od kiedy? Od kiedy?

...Od kiedy i od kiedy? Od tedy jak mu kapło z Pekakabzy! o! od onczas zaczął kpić na funty szterlingi.. z Polanezji, wydziwiać, uragać...

...To Hell with scoundrell

...Wizerunki Karmazynów i Amarantów kazał pouzuwać na strych. Bajkowe słoneczniki, które się tak podobały, cacane stokrocie, misterne nasturcje, jaskier delikatny, specjalność naszej Wytwórni kazał wycofywać i wysyłać na prowincje i tam magazynować, magazynować! Wszystko, co gdzie tylko spasty spekulas zoczył, to skupywał, gromadził, tanio, tanio skupywał, bo ino wekselki dawał i kapinę gotóweczki. Zwozili nam też z różnych fabryk i zwozili. Towar drożał, jak na drożdżach. A wekselków się nie płaciło... czekało... nie spieszyło. Wołała poczwara potem gorszejszą marczyzną zapłacić głupcom, którzy takie weksle znowu sobie kolekcjonowali...

...Skądź głupców znalazł?

...Siać ich nie trzeba! Sami się rodzą! Bank panie! Bank Państwowy! Krajowy! Miało się kredyt, dostawało się gotiu! Jak stary to zwąchał, no na tem już jechał... pęczniał, inflaczał, tył, puchł... No i co mu się dziwić, że odtąd zaczął kpić na funty szterlingi z takiego moczarstwa, z takiego galicja-matjasu... Pyłkowi ludzkiemu nigdy nie może imponować państwo, które daje się rozrabować swym obywatelom. Pyłek ludzki nie może mieć szacunku dla Skarbu, który można naciągać, pompować, tappować, nabierać, oszwabiać, ożynać! Pyłek ludzki nie może mieć w estymie fiskusu, ze ściąganiem podatków barłozącego! Pyłki w pyski trzeba bić, gdy się o godzinę spóźniają z danaidaniną...

...Racja! racja, z danaidaniną!

...To też i nasz pryncypał, jak ino wypenetrował i wyspekulował, że u nas ze wszystkim można zalegać, cyganić, szwindlować, tak się w nim ta admiracja dla Sarmacji załamała. A skoro już się nie bał, to i nie szanował, a jak nie szanował to zaczął szkaradzić... Na Amarant pluł, Sanacjonalistów wyklinał, z U. L. P. P. P. wystąpił... i wykpiwał. A potem kiedy pierwszy raz przyjechała do nas pani...

...Senatorowa Rothblum? Tak? Od tego czasu, kiedy kupiła po raz pierwszy pęk czerwonych marek i zapłaciła dolarami...

...Skąd pan wie? Skąd pan wie?...

...Znikąd! Wieści znikąd. Domyślam sobie...

...Tak. Tak było. Zapłaciła dolarami. Zrobiła wielkie zamówienie. Sprowadziła swoich znajomych.

...I jeden z tych znajomych... bankowiec...

...Skąd pan wie? Skąd pan wie?

...Domyślam sobie... Przypuszczam tylko.

...Tak... Rozenroth, niejaki Rozenroth.

...Namówił go do Haberbuscha, odsprzedał mu pierwsze akcje, wciągnął w spekulacje, w gorączkę, w trans, na Gelde.

...Literalnie dosłownie tak. Stary warchlak szedł w gnój na czterech łapach, z ryjem w akcjach tylko niuchającym. I teraz Nabab, Krezus, Midas, Harpagon! im bogatszy, tem skąpszy, chciwszy, dzikszy.

...„Napięcie etyki w warstwach posiadających stoi w momentach przedrewolucyjnych w odwrotnym stosunku do siły nacisku w górę warstw wywalających się“.



...Aforyzmy może pan sobie schować do sztabuchów, na zapas, a teraz pan słuchaj co się panu opowiada... Paniąkom z pracowni każdy strzępek zaginiony odciąga z placu i ważyłby je w każdą sobotę, żeby się przekonać czy im nie przybyło na wadze z dobrobytu!

...A ścierwo! Nepman zatracony!

...Co dzień wieczór o sto milrajsów bogatszy, codzień rano za jajko droższe o tysiąc marciątek całe państwo wykłina i sobaczy! A kiedy mu Kapituła Sanacjonalistów wstrzymała dyskonto weksli, kiedy kredyty dalsze zamknęli im na cztery spusty!

...Siedem tryljonów w sumie rozpylonol!... Chyba dość?

...I kiedy jeszcze luksusowa stawka na sztuczne kwiaty nastąpiła, wściekł się, dosłownie wściekł się. Poczytalność go opuściła, a z pyska szła piana, jak z balji w kubel... Zębami zgrzytał, paluchy späste zaciskał, rzeżał z wściekłości. No i wtedy powiedział to jedno, jedno zdanie, za które poprzy sięgłam mu zemstę! zemstę straszliwą! piekielną, zemstę, którą obmyślam dzień i noc, noc i dzień i nie śpię i nie jem! i żółknę i chudnę i więdnę i schnę, ...aż póki jej nie dokonam.

...Nie dokonamy. My!... Nie dokonamy! Oboje...

...Wszystkoby mu przebaczyła. Wszystko. I to, że się firma artyzmu wyrzekła i z papieru kwiaty dla pospólstwa! I to nawet, że panny z magazynu głodzi. I to, że personel okrada i to, że na rząd biada ta szkarada... Ale czego mu nie przebaczę, nawet, kiedy zgniły zatruchał będzie zieleni swej mogiły..., to tego jednego zdania straszego, tego pyłku, który unosi się odtąd w powietrzu tego zarazka, rozmnożonego w biljony i miljardy

któremi oddechają już wszyscy, tej dżumy polskich Pyłków...

...Mów pan! Mów pan! Prędejl!

...Ojczyzna jest drogą, jeżeli w niej jest tanio.

\* \* \*

W dziennikach stołecznych, z któregoś dnia pierwszej połowy Grudnia b. roku, czytało się taką sensację.

## „ROBOTNIK SYONU“

### Kronika.

*Nowa bomba.* Wczoraj wczesnym wieczorem na rogu ulic Srebrnej i Złotej, tuż pod sklepem ze sztucznymi kwiatami obywatela Gracjana Pyłka, nastąpił wybuch maszyny piekielnej, który pociągnął za sobą straszne następstwa. Zdemolowany cały sklep, cała fasada domu zniszczona, oberwane balkony aż do trzeciego piętra, sam zaś właściciel wytwórni z ulicy Srebrnej i fabryki papierowych kwiatów na Woli, rozszarpany w drobniaki.

Są wszelkie poszlaki, że nowy ten zamach zorganizowała jedna z rozzuchwalonych bojówek Sanacjonalistów, którym nieboszczyk w ostatnich czasach naraził się fatalnie, wsypując niedawno przed władzami całą robotę t. z. „Ulopków“, tj. facystoskich oddziałów pogotowia wojennego rozbitej reakcji Amaranu.

Śledztwo w toku.

Dziś aresztowano w nocy szereg „bywalców“

z Baru „pod Zagłobą”, między innymi p. Cedule, Drygałę, Gulona, Bidulskiego, Dulskiego i innych.

\* \* \*

## „GAZETA STAROPOLSKA“

### Kronika.

*Nowa bomba.* Późnym wieczorem wczoraj spokojni mieszkańcy ulic Srebrnej i Złotej i przyległych wstrząśnięci zostali straszliwą detonacją. Oto niewiadomym narazie sprawcom udało się podłożyć pod znaną firmę „Gracjan Pyłek i Spółka” (Sztuczne Kwiaty) bombę z aparatem zegarkowym która też wybuchnąwszy dokazała piekielnego zniszczenia. Ofiarą padł przedewszystkiem znany w szerokich kołach przemysłowiec i kupiec ś. p. Gracjan Pyłek, którego rozerwało wprost w strzępy. Zrujnowany i zdemolowany sklep, zniszczona klatka schodowa, zerwane balkony, a tylko prawdziwym cudem uratowane pobliskie sklepy i mieszkania. Wybuch dał się odczuć w szerokim promieniu, gdzie wszędzie wybite szyby i okna. Wszelkie dane wskazują na to, że bomba padła z rąk tych elementów, które zaprzysiągły zgubę partji Sanacjonalistów i dążą do tego i godziwymi i niegodziwymi drogami. Nieboszczyk ś. p. Pyłek należał do organizacji gimnastycznych Amarantu i jako taki od dawna był już solą w oku Sojuza Czerwonych. Wprawdzie w ostatnich czasach z życia partyjnego się wycofał i udziału czynnego w niem nie brał, atoli zakarbowano sobie prawdopodobnie w pamięci jego działalność dawną i postanowiono się pomścić. Gracjan Pyłek padł bohaterską śmiercią na stano-

wisku jako nowa ofiara rozbestwionej anarchji Czerwonych.

Sledztwo oddane w ręce podprokuratora dr. Rosenrotha-Rózańskiego.

\* \* \*

Gdzie prawda? Czyj zamach? Kto to dziś może odgadnąć? czy wysledzić? Jakie poszlaki? Jakie dowody? Czy w podobnych sprawach wysledzono choć raz kogoś? Czy może były dwie bomby? Czy może i jedna i druga strona miała swoje racje? I może tu zetknęły się na jednym punkcie dwie organizacje? A może tylko jaka jednostka na własną rękę? Fanatyk? Warjat chory na waloryzację Polski, bo to i tacy bywają!

Może ten, co bombą piekielną zdmuchnął ze świata nieboszczyka Pyłka, jeszcze sobie podrwiwa i podkpiwa z niego? i nawet w nekrologu z „fluktuacji w orientacjach” ś. p. Gracjana się natrząsa? Kto to wie? Możliwe.

**AWANTURNIK Z POLSTATE  
(KNOCK GUT BLOW")**

(Le Dompteur de Wild-East)

**NOWY OBRAZ Z WYTWÓRNI FIRST NATIONAL**  
United Pictures. — Los Angeles, California, U. S. A.

**SCENARJUSZ**

Wild West czy Wild East, wszystko jedno.

W każdym razie, jeszcze wcale dzikie okolice świata, gdzie cywilizacja z wielkim trudem przyswajana jest przez mieszkańców, z trzech rozmaitych Stanów Niezjednoczonych tutaj usiadłych, wśród których obok rodowitych yankesów, wielka liczba kruczowłosych Murzydów, jakoteż Indianie z dziarskiego plemienia Siuxów, wśród których na spienionym rumaku pędzi właśnie jeden z kolonistów-osadników, Addie Whip (J), z wielkiej radości strzelając raz po raz w górę, ażeby usłyszała go na drugim końcu osady, za szybko zbudowanej, skoro tylko ukazało się tu złoto na dnie piaszczystym Potoku Zielonego, urocza i wiotka Mabel Nice (Melba Norma), gotująca pod ten czas wieczerzę, dla staruszki, ślepej prababki (Dorothy King), oraz zebrani zwykle o tej porze w salonie Toma Bulla osadnicy, to grający w karty, gdzieś gdzie fałszowane, to stojący przy bufecie wesoło popijający mocny dżyn, to wreszcie, popadłszy w przygodną zwadę, oddając się z zapalem boxowi, ku wysokiej ucieście córki gospodarza, wiotkiej i uroczej Lilian (Maud Lewson). Przeskoczywszy po drodze przez omnibus, wiozący beczki z piwem dla pocziwego oberżysty i osadzając konia rasowego w galopie na balkonie pierwszego piętra, znalazł się nasz bohater odrazu w ogniu pytań i strzałów kończącej się właśnie ruchliwej sprzeczką, mię-

dzy dwoma zuchwałymi negrami, wydzierającymi przemocą worek ze złotym piaskiem staremu kulawemu karczownikowi (Ingram Puntch) znanemu ze swej niepospolitej siły oraz szczerzej dobroduszości. Tymczasem na samym końcu osady, pośpiesznie tylko więc lichy zabudowanej, ledwo podzwrotnikowej puszczy otoczonej, gdzie przebywa dużo, jak widzimy, najdzikszego zwierza, jakoto jaguary centkowane, kosmate peowiany na gałęziach, goryle rozroste, hamadryasy, oraz oranżutany zarazem bardzo dzikie jeszcze plemię czerwonoskórych a kryjących się w dżungli Bolszuyanów, mięsem białych twarzy czasami też się karmiących, tamże do domostwa, w którym z prababką (Dorothy King) przemieszkuje uroczka Mabel Nice (Norma Melba), właśnie wieczrę gotująca, podkradają się, w samo południe, na czworakach, bezczelne Indjany, aby w mig i szybko, ukraść podstępnie całą suszącą się na palmach bieliznę i pościel i zagarnąć piasek ze złotem, rozsypany hojnie na murawie, poczem z bogatym łupem, gdy noc zapada, uciekać w niezgłębione lasy, ljanya i pampasy.

\* \* \*

Pod ten czas, w saloonbarze Toma Bulla przy głównym placu, otaczają Addie Whipa osadnicy, po zgrabnem zrzućeniu z okien obu czarnokudłatych negrów, chciwych na worek starego, kulawego karczownika, wśród których znalazł się i chudy ale nabożny pastor (Jackie Coohen) i szeryf Saafan Doole oraz kilku bogatych farmerów i grubych kupców, wśród których roznosi gorące trunki uroczka i wiotka jedynaczka gospodarza, gdy nagle wybucha zwada, dość zresztą częsta w tem

domostwie, całkowicie od kul wielkiego i małego kalibru podziurawionym, przyczem głównie przemawiają Saafan Doole, zarzucając siedzącemu na bufecie Addie głównie, że im zasnąć i spać nie daje od lat pięćdziesiąt, odkąd osada zabudowana, lichy czy nie lichy—pal lichy, a w jaki sposób, to widzimy z opowiadania szeryfa, więc, że co tydzień albo i dwa razy, kiedy noc zapada nad Polstone, nieokrzesany Addie, zwykle o północy z gromadą smyków wsiada na swój samochód i z krzykiem i wrzaskami, pędzi po uliczkach i placach i wzdłuż dziurawej palisady i przejeżdżając koło domostw, gdzie mieszkają skośni Chińczycy, czarnokudli negros oraz zuchwali Czerwonoskórzy, wałęsa dla postrachu z browningów, rzucają bombki i szmermele, świszczą na gwizdkach, grają na trąbach, bębnią w niejedną oślą skórę, co nie pomaga mieszkańcom we śnie błogim pod pierzynami, ale właśnie rozbudza ze snu i wątłego pastora (Jackie Coohen) i tłustego handlarza bawołów oraz reniferów (Patrick Bums), bogatego piekarza z Seconde Avenue Ramolly (Abel Douglas), w czem sekunduje szeryfowi niespodzianie też filozof i droguerzysta, ongi lift-boy z hotelu Splendid w Penopolis (Minnesota) mr. Jollope (Allan Mobsleigh) co oczywiście wywołuje natychmiastowy sprzeciw Addie Whip, rzucającego fajkę w lustro, wiszące naprzeciw, przyczem, gdy odpadki szkła ranią to ciężko, to lekko bliżej stojących, na dole zrywa strzemiona dwadzieścia przywiązanych do drąga stepowych rysaków i ucieka w pampasy wśród szalejącej burzy i piorunów, raz po raz padających w bliższą i dalszą okolicę, w strumyk i w skały. Tu wyprostowany z irytacji na bufecie przemawia do zebranych Addie Whip raz po raz, obcasem druzgocąc marmurowy blat bufetu i rozstawione

nęćąco soda-whisky i inne cocktaile, mówiąc i pijąc wprost do Saafan Doola i jego przyjaciół. Właśnie słońce Wild-Eastu wspaniale zachodzi nad śnieżysto-białymi szczytami Paper-Mountains i oświeca uroczą Pico della Marca, właśnie bydło i owce wracają z hal targowych i rozchodzą się spokojnie po czarownych nizinach i kotlinach. Właśnie duże stado lwów i lwic przebiega ochotczo przez sitowia tamtejszej Białowięzy, a z Wysokiej wieży kościółka rozbrzmiewa, jak widzimy sygnaturka, właśnie w swej dzielnicy w Polstone Chińczycy zapalają wiotkie i urocze latarnie, właśnie zasypia przy kominku, w huśtającym fotelu ślepa prababka (Dorothy King) a jej widoma prawnuczka z rozpaczą dostrzega kradzież złotego piasku, bielizny, pościeli i drobiazgów, wartości kilkudziesięciu dolarów, zrabowanych przez oddział plemienia Bolszuyanów. Teraz dopiero w głębi puszczy rozpoczynają wokół ognia czerwonoskórzy zwycięski cake walc, z tomahawkami i bumerangami pierwszej klasy, gdy tymczasem zebrany osadnik Polstone, poszukiwaczom łatwego złota opowiada z bufetu Addie Whip, dlaczego to nocami tak często ich straszy i budzi i hałasi i miota szmermele i awanturuje się, zamiast... także spać pod pierzyną.

Zrozpaczona wiotka i urocza Mabel przez chwilę tylko namyśla się, co teraz zrobić, by natychmiast, z rozpuszczonym pod wiatr włosem, wskoczyć rażno na nieosiadłego siwosza i co prędzej, naoklep odszukać Addie, zwiastując mu okropny czyn rozzuchwalonych czerwonoskórców, cwałujących nie przez osadę, lecz w świetle księżycowem, na przełaj przez lasy i puszcze, przepelnioną zgłodniałymi jaguarami i antylopami, pomykającymi zrzęcznie przez gęszczone zarośli, w któ-

rych gdzieś kryje się też i wąż boa w towarzystwie aligatorów, kajmakanów i t. p. drapieżnej dziewczyny, nie odstraszałej atoli dzielnej dziewczyny z rozwianym na oklep włosem i podczas gdy z gałęzi olbrzymiego drzewa kokosowego, szyderczo, w świetle błyskawicy uśmiecha się pysk złowrogiej a żywej sowy, Czerwonoskórzy po obfitej libacji „wody ognistej” wciąż tańczą na dzikim ostępie one stepa. Ale i Addie nie traci czasu, lecz opowiada dalej, co zaczął poprzednio, krzepiąc się tylko niekiedy łykiem whisky z sobą. I to widzimy, jakto zabudowywało się Polstone zbyt szybko i licho, za szeroki teren ogarniając i złotem w piasku rwącego strumienia wabiąc roje rowdych i roughsów z południa, a co więcej skośnookich, żółtych synów nieba i czarnokudłatych negroes, zajmujących już całe baraki w drewnianej osadzie.

...Wnet się zwachają czerwonoskórzy z negrami, negry z Chińczykami i za mordy was wezmą i na kark wam wsiądą, a tobie łysy łeb oskalpują Saafan Doolu! jeden z drugim!

— Ciszej gardłuj kłownie opętany — ryczy z rogu saloon-baru jakiś metys (Mac Roth), waląc równocześnie z browninga, tuż nad głową wymachującego syfonem Addie Whip, poczem syfon, wirując w powietrzu, spada na łeb roztrzaskanego metysa, zwałającego się ciężko pod stół.

— Gdybyśmy was nie budzili po nocach, baranie głowy i nie czuwali za was brzuchacze, łysonie, złotolowcy, bawołopasy, głąby kapuściane, dusidolary, ryżosieje, superfosfacety, nosorożce przetłuszczone, lewiatany kaprawe, shopkipery i shopkipierniki, dawnoby was posiekanych i rozgotowanych w kotłach do białej kości zeżarło

plemię czerwonoskórych Bolszuyanów, a wasze żony, córki i siostry poszłyby do wigwamów...

...Ale my chcemy spać po nocy Addie! Nie na to w dzień zgarniamy i zgarniamy złoty piasek żeby nas straszono, budzono, alarmowano! Już się ni negrów, ni Chińczyków nie boimy! Damy sobie radę w razie czego! Jakoś to będzie!.. Tu nie Texas. Spróbujcie raz inaczej. Trąbcie delikatnie! Strzelajcie cicho! Gwizdajcie correct! Buczcie subtelnie!

— Stop! Stull! Dość! Zrobi się! Niech wam będzie! Możecie spać baranie głowy! Dziś jeszcze wyjeżdżamy do Penelopolis!.. Do widzenia, Jollopel Zegnaj Saafan Doole! Trzymaj się pierzyny Ramolly!.. Good by Old Bob! Wrócimy w przyszłą niedzielę, by przekonać się tylko, czy została choć kupa desek z Polstone i jedna pełna butelka w saloon-barze twoim zatracony karczmarzu! Good by! To hell with Filistins!

\* \* \*

Ciemna noc zapada w osadzie nad złotodajną rzeką, ciemna aż oko wykóła, jakiej jeszcze nie było, a jakie często bywają tylko w Wild West czy w Wild East. Ślepa staruszka (Dorothy King) śpi smacznie kołysząc siebie w srebrnym świetle księżyca, oblana purpurą ogniska, trzaskającego raźnie w kominku, podczas gdy w (China-Town) dzielnicy chińskiej, w tajnej palarni opium mandaryna Ka Ha-Neng widać rozciągniętych na zbyt-kownych łóżkach naszych dobrych znajomych z Saloon-baru Toma Bulla, oddających się straszemu, wycieńczającemu nałogowi i wdychających bezwstydnie upajające opary z wiotkich i uroczych cybuszków, przyczem uwija się służba w pokor-

nych ukłonach, raz po raz uderzając w gongi tajemnicze, w czym biorą udział zdaleka od rodzin i interesów i szeryf i bogaci shopkeperzy, marnując zdrowie i pieniądze, ciężko z piasku lekkiego wygrzebany, podczas, gdy na zziąjanym siwku pędzi przez prerję, na schwał cwałując, z rozwianym włosom, wiotka i urocza Mañel Nice. Ciężko poranionego atoli Metysa (Mac Roth) na łożu boleści i na posłaniu z liści rozłożonego pielęgnuje własnoręcznie zakochana w nim i uwiedziona, przy świetle latarki, smukła i urocza córka (oberzysty (Maud Lewson).

Ale podczas, gdy w jaskini opjum odurzają się haszyszem bogacz Ramolly i handlarz reniferów, właśnie do ich sklepów dobierają się niepoprawni murzyni, w olbrzymiej kasie żelazo-betonowej świdrując szeroki otwór w księżycowym świetle.

Ale i wielki spisek pod ten czas nie drzemie tylko dojrzewa i to tuż, za ścianą, w palarni opjum, gdzie w podziemnej piwnicy mandaryna Ka-Ha-Neng z przepychem wschodnim urządzonej, właśnie obradują wodzowie mniejszości zawodowych, a więc wyleczony już z ran metys Mac Roth, (Dirty Dick) wysłany tu przez murzynów naczelnik czerwonoskórych i to oswojonych „Oko Pampasie“ (Joe Peawl) oraz wysłannicy niewytrzebionego, a w wielkiej puszczy zamieszkałego, plemienia Bolszuyanów, zaprzysięgający przed posągiem Buddy dozoną zemstę ciemnościom, oraz szybką a ciężką śmierć awanturnikom z bandy Addie Whipa. Tymczasem ci właśnie, o których tu mowa w podziemiach palarni, teraz właśnie wskazują na swój samochód, uzbrojeni od stóp do głów w jatagany, losiowe spodnie, trąby, nagany

i gwizdki i wypełniając życzenie Addie Whipa, opuszczają raz na zawsze Polstone.

Szczęśliwym trafem u wrót puszczy, gdzie zaczynają się już nieprzejrzone bory i buki stuletnie, pędzący lotem strzały samochód, spotyka ostatkiem sił w odwrotnym kierunku zziąjaną, na ponoszącym ku przepaści skalnej rumaku, uroczą i wiotką Mabel (Norma Melba), która też, pomimo zmęczenia, wskakuje z konia wprost w objęcia uradowanego z odnalezionej zguby Addie Whipa, opowiadając zebrany pośpiesznie o podłej kradzieży bielizny i złota, uskutecznionej przez zręcznych włamywaczy z puszczy, podczas kiedy na polu już świta, widać tu i ówdzie w zaroślach szakale wracające do gniazd z nocną zdobyczą, słoń Youmbo przebiega ochoczo po rannej rosie, a z za krzaków, palm kokosowych i ljan splątanych dżungli, widać już blisko u kresu puszczy zasieki i mury dalekiego Penelopis.

I odjechali w tumanach kurzu i dymu, unoszącego się z gościńca i szosy.

Niedziela w Polstone, w tydzień po wypadkach, dopiero co zaszłych. W puszczy święta cisza i odpoczynek po dniach żmudnej pracy. Śpi w niedostępnym sitowiu olbrzymi słoń Youmbo, nie przeczuwając pełzania w sąsiedztwie olbrzymiego węża Anakondny. I śpi też w swoim fotelu huśtającym zgrzybiała prababka rodu Niców (Dorothy King), ale śpi już, zdaje się, snem wiecznym, gdyż krew obfitym strumieniem ścieka jej z rany, zadanej zatrutą strzałą dzikiego czerwonoskórca z plemienia Bolszuyanów.

Atoli nie ona tylko dogorywa gdyż dogorywają i płomienie na zgliszcach ruiny, pięknej ongi osady Polstone, doszczętnie tu i ówdzie spalonej, po uciążliwych walkach z dzielną kompanją dzia-

skich poszukiwaczy złota, obecnie powiązanych sznurami, skutych łańcuchami, zakneblowanych zdradziecko i oczekujących swego losu, leżąc pokotem jeden przy drugim, wśród których widzimy tu starych znajomych kulawego Ingrama (Puntch), handlarza reniferów (Patrick Bums), droguerzystę i filozofa gminy Jollope, bogatego Ramolly, całą rodzinę Saafan Doolów, a nie oszczędzono też pobożnego pastora (Jackie Coohen), który teraz zgrzytając zębami z gniewu, gryzie i szarpie bezskutecznie ciężkimi okowami łańcuchów. W Saloon-barze Toma Bulla powieszono okrutnie na lampie rozgościli się zwycięzcy, racząc się trunkami obficie i zmuszając do wesołego tańca apaszów i foxtrottów żony, córki, siostry, narzeczone i wdowy zwyciężonych „bladych twarzy”. W „office” kancelarii szeryfa rządzi teraz i ostatnie wyroki śmierci podpisuje mandaryn Ka-Han-Nen, pykając tryumfalnie z opjumowanej fajeczki z tajemniczym i zagadkowym uśmiechem, żółtych „synów nieba”. Piekarnię Ramollich opanowały czarne murzyny, jakoteż skład apteczny filozofa Jollope i dorwawszy się do słoików i flaszek właśnie z nieokrzesanem łakomstwem, właściwym plemieniu tej maści, wypróżniają do dna zawartość flaszek i wyjadają maści i syropy, Widocznie więc władza i rządy przeszły do różnobarwnych współmieszkańców zawodowych mniejszości, skoro na wieży kościołka powiewają obok gwiazdzistego sztandaru powbijane na bumerangi i włócznie skalpy naszych dobrych znajomych z Saloon-baru Toma Bulla.

I teraz oto dopiero na skraju puszczy i pampasów pojawia się pędzący z zawrotną szybkością szary samochód smyków Addie Whipa a z nim na rowerach i motocyklach szwadron policji z Penelopis, zdążający z odsieczą. Przerażony i roz-



budzony hałasem, zrywa się w mateczniku na równe nogi olbrzymi słoń Youmbo. Z gałęzi na gałęź przeskakują w popłochu kosmate peowiany i hamadryasy piskliwe uciekają w głębiny puszczy niebotycznej.

Właśnie rozkuty z łańcuchów pastor (Jackie Coohen) ma pod grozą rewolwerów przyłożonych do skroni dawać na schodach ślub uroczej i wiotkiej Lilian (Maud Lewson) z brutalnym metysem (Mac Roth) a jedenastoletnia ich córeczka i małe bliźniacze niemowlę z bezsilną wściekłością muszą patrzeć na tę scenę, kiedy na wylocie Seconde Avenue zjawia się odsiecz z Penelopolis na samochodach i rowerach, rażno i wesoło strzelając na wiwat w zbitą gromadę zdumionych tą niespodzianką, czerwonoskórych, czarnych, żółtych i czarnożółtych. Szybko rozkuwają z łańcuchów biednych i szczękających zębami Saafan Doolów, Jolopes, Ramolłych i innych notablów Polstone, otaczających teraz samochód ze smykami Addie Whipa, podczas gdy na jednej z pobliskich suchych gałęzi zawisł na haku mandaryn Ka Han-Nen, na drugiej lubieżny metys, na trzeciej reszta. Rozkuty zaś z łańcuchów pastor daje już ślub ale uroczej i wiotkiej Lilian (Maud Lewson) oraz właścicielowi zjedzonej doszczętnie droguerji i filozofowi gminnemu Jollope. W imieniu zaś źle rozbudowanej i nieco podniszczonej i spalonej osady poławiaczy złota w piasku przemawia teraz senior rodziny Saafan Doolów krótko i węzłowato:

„Miałeś rację Addie Whipl (J)! Nie dawaj nam spać zbyt mocno i twardo! Czasy są ciężkie! Trzeba czuwać. Wild East to jak Wild West! Co Polstone to nie Penelopolis (Mińnesota U. S. o A.) Hip! Hip! Hurr!

## ZWIERCIADŁO i LALECZKA

Stało sobie na głównej ladzie, na paradnej ladzie obok innych wielkich, wspaniałych, okazowych, popisowych lusterek, obok szkieł kryształowych, lśniących wazonów, smukłych amfor na kwiaty, cukiernic o srebrnych ozdobach, karafek ze rżniętego szkła, puharów przeznaczonych na nagrody i jubileusze, stało sobie wciśnięte między dwa najwspanialsze.

Dopiero tego dnia właściwie mogło i musiało po raz pierwszy dostrzedz swoje upośledzenie, swoje kalectwo, swoją niedolę.

Oczekiwano widocznie czegoś niezwykłego, odświętnego, uroczystego. Miałaby tu przyjść jakiś królewicz z bajki czy księżniczka zamorska? Skąd te miny takie rozpromienione, wesole, uprzejme i grzeczne, nadewszystko grzeczne u tych ludzi zwykle tak zasepionych i opryskliwych? Skąd te radosne uśmiechy? i to właśnie dzisiaj?

Lustreczku w czarnych ramkach zaś wcale na duszy wesoło nie było. Raczej chyba na płacz się zbierało. Dopiero teraz, dopiero w ten dzień dziwny, dopiero w tem olśniewającym, radosnym, szczęśliwym świetle odczuwało po raz pierwszy beznadziejność i ból swego istnienia. Dokoła tak wszystkie cuda zwierciadlane były rozstawione, że można było cały ten mały światek promieniejący widzieć i podziwiać. W potokach ciepłego, złocistego światła ożywczego lśniły się i błyszczwały, iskrzyły i ży-

ły te precudne twory ludzkiego kunsztu. Lustreczko w brzydkich, czarnych surowych ramach dopiero teraz mogło w całej okazałości widzieć przepych swego otoczenia. Po prawej miało kosztownego i wytwornego sąsiada w safianowo jasno rakową skórę oprawnego, po lewej równej omal wielkości owalne zwierciadło w ramach kowanych z matowego ciemnawego srebra; dookoła zaś na ladzie i na wszystkich półkach, w szklanych szafach, w gablotkach, frontem obrócone do gości którzy mieli nadchodzić równie piękne, równie wiernie odbijające rzeczywistość otaczającego świata zwierciadła.

Dziś od rana przeglądała się w nich wszystkich jakaś niespodziewana pogodność, jakaś pełna oczekiwania uprzejmość i właściciela sklepu i jego grubej pani. Widocznie czegoś miłego i dobrego spodziewali się. Widocznie liczyli na to, że w tym dniu choć z wieloma lustrami rozstać się im przyjdzie, to wynagrodzi im ten ból rozstania stos pieniędzy z pustej kasie.

— W taki dzień to zawsze cały zapas odchodzi, mój stary. Kochający mężczyźni lubią bardzo, jak bożyszczą ich w dzień wigilijny przeglądają się w lustrach, które je jeszcze piękniejszymi czynią.

— A tak. I mają rację. Bo lustro powinno pochlebiać, odmładzać, upiększać, zacierać zmarszczki zatajać błędy, zamazywać plamy. Lustro to dzieło sztuki, a sztuka nie jest zwierciadłem życia, lecz tylko przesadą w pięknie.

— Sztuka jest sztuką, mój stary! A naszą sztuką będzie sprzedać choć połowę towaru. Rozumiesz? Inaczej przed nowym rokiem zbankrutujemy.

— Zbankrutuje tylko ten, co nie wierzy w Piękno, spotęgowane w zwierciadle Sztuki, moja droga.

Kto wierzy, ten wygra bo ten kupi u nas i zapłaci wszystko z miejsca gotówką.

— Może i to czarne znajdzie dzisiaj nabywcę stary niepoprawny wesółku?

— A może? Kto to odgadnie. Są i tacy, co znudzeni ambrawą pochlebstw wolą dym gryzący i tacy, co nad zapach konwalji przekładają obłoczki z cygar.

— O sobie mówisz mój stary?

— O dziwakach mówię, moja młoda.

— Cicho bądź! Zaczynają wchodzić goście.

Istotnie drzwi szklane powoli się rozwierały, a z ich rozwarciem zawiało w ciepły sklep najpierw śnieżną zadymką. Poczem wpadł w lustrzany pałacyk hałaśliwy gwar przedświątecznej ulicy.

Wszystkie lustra i lusterka przybrały teraz najpiękniejsze pózy i ustroiły się w najmiłsze uśmiechy. Wszystkie równocześnie chciały odbić w sobie wdzięk wchodzącego przechodnia w jak-najbardziej spotęgowanej sile. Wszystkie chciały być wybrane i przepłacone.

— Jesteś uroczy w tem fokowem futrze... witało to w srebrnych ramach.

— Masz ruchy całkiem wielkopańskie, przystojny przybyszu... basowało to paradne w safianie.

A pryncypał i gruba pani już w lansadach i umizgach. Chłopak sklepowy zamykał niedomknięte drzwi od ulicy, wpatrując się jeszcze przez półzamarzłe szyby w ludzi, którzy tego dnia mieli ręce pełne pakunków i paczek, na plecach śliczne zielone drzeweczka, na ustach uśmiechy zadowolenia i szczęścia.

Gość sięgał kapryśną ręką właśnie po małe w czarnych ramkach, podnosił je do twarzy, przypatrywał się i raptownie zbladł.

— A to co znowu?

— Tego dostojny dobrodziej niech nie bierze na serj. To taki kaprys przyrody czy sztuki... Raczej zabawka.. Nietylko ludzi pomniejsza ale przedrzeźnia zuchwale ich klasyczne piękno...

— Tak, tak jasnie oświecony dziedzicu. To jest figiel szatański. Nawet Antinous, gdyby się w niem przejrzał będzie wyglądał jak Kaliban.

— Po cóż to trzymacie na składzie?

— Może się znajdzie amator i na prawdę wkleśłą Man y tyle, tyle, tyle luster, które mówią tylko prawdę, że jedno które kłamie w oczy tak zabawnie, może chyba się ostać

— Kupuję to w srebrnych ramach i płacę złotem.

Czarne lusterko znów stało na swoim miejscu. I zaczęło coś rozmyślać smutnie i smętnie. Istotnie. Wszystkie inne odbijały w sobie gościa jak najpochlebniej, a tylko ono jedno jedyne odzwierciedliło jakąś otyłą maskarę o oczach lisa, zębach wilczych i krogulczych palcach. Czoło wyszło potwornie niskie, usta mięsiste, twarz w plamach, szyja apoplektycznie gruba jak u jakich nowobogackich. I to miał być pan Kundmann?

Czyżby czarno oprawne lusterko zawsze wszystkie z tej strony odbijało i przedrzeźniało? Czyżby świat zaludniały same karykatury? Ależ to byłoby straszne i nie do zniesienia!

A może to tylko ten pan Kundmann nie ma w sobie nic z niewysłowionego uroku człowieka? Innych zapewne lusterko w czarnych surowych ramach będzie pokazywało takimi, jakimi są w rzeczywistości t. j. istotnie na obraz i podobieństwo Boskie, królami stworzenia, boginiami, niebiankami, aniołami wcielonymi w kształt niewieści?

I czarne lusterko poprawiło się na swej podporze, rozprostowało grzbiet, wypogodziło oblicze

jak tylko mogło i patrzyło teraz śmiało w jarzącą jasność rozblyszczzonego sklepu.

Pan Kundmann płacił pompatycznie i wychodził. Sam pryncypał otwierał mu drzwi śmiesznie wpół zgięty.

Jakaś dystygowana, uroczysta dama w zielonym pluszowym płaszczu, trzymająca przy oczach lorgnon ze słoniowokostną rączką, targowała teraz lustro w safianową skórę oprawne... sąsiada z lewej...

— Dla męża mego na gwiazdkę chciałabym... mówiła głosem matrony, poważnie i pobożnie, kiedy nagle wzrok jej padł na lusterko w czarnej oprawie.

— Kłamiesz babo, szeptało. Dystynkcja twoja nie jest dystynkcją na codzień. Oczy twoje są mocne i sowie a lorgnonem chcesz mi imponować. Perły twoich zębów są sztuczne a koło uszka twego nieproporcjonalnie wielkiego i zasłoniętego peruką wczoraj kupioną, masz szpetną brodawkę. Przyznaj teraz czy mój sąsiad, lustro w safianowej oprawie jest dla twego męża, czy nie dla niego? Przyznaj się ty brzydka, plamista, pięćdziesięcioletnia sekutnico!

— Jak państwo mogą trzymać na ladzie takie szkaradzieństwo?

— Może się kto trafi i na to pani hrabino, może się trafi...

— Trafi? Trafi... A toż szlag może trafić człowieka, co się niebacznie przejrzy w takim bezecnem kłamstwie. Rozbijcież to póki czas!

I krzywiąc się niedystygowanie uroczysta dama oddawała lokajowi opakowane lustro. Sama pryncypałowa śmiesznie wpół zgięta odprowadzała wychodzącą do drzwi...

Czarne lustro zarumieniło się teraz ze wstydu; ze strachu zaś serce mu zaczęło kołatać niespokojnie.

— A nuż rozbiją? A niech rozbiją! Raz koź śmierć. Czy to miłe życie kalece? Czy to przyjemnie wszystkim gościom prawdę wkleśtą odzwierciedlać. Niech mię rozbiją już raz te maszkary!...

I dość zuchwale i całkiem przedrzeźniając wpatrzyło się teraz w cyferblat pryncypałowej...

Sklep był na moment nieco pusty. Tylko jakiś staruszek maluteńki dobierał sobie w kącie takiego okrągłego ordynusa do golenia.

I teraz drzwi „szklane nagle szeroko się roz-  
tworzyły.

Słychać się dało dzwonienie sanek i metaliczny skrzyp ludzkich butów po zamarzłym śniegu.

Do sklepu wchodziła prześliczna panienska z wysoką na trzy metry angielską guwernantką w czarnych rogowych okularach.

Tak, to był anioł, naprawdę anioł. Misterna lalczka z saskiej porcelany, zdjęta z etażerki z czarnej japońskiej laki. Opuściła na chwilę porcelanowego Budhę kiwającego wciąż głową, opuściła słonia rzeźbionego z chryzoprasu, zeszła z etażerki i tu przyszła do sklepu... aż tak daleko, tak nisko.

Coś tak czarownego i czarodziejskiego czarne lustro nie widziało jeszcze w swoim krótkim życiu, nigdy!

Tak to jest piękno samo w sobie, to jest nadchodząca wiosna, to jest anioł. Może archanioł?

Paradna lada w sklepie była już prawie cała wysprzedana. Na samym froncie stało tylko lustreczko w czarnej surowej oprawie rozszerzonymi, rozkochanymi, zdumionymi, osłupionymi oczyma

wpatrzone w lalczkę o złotych włoskach rozsypujących się z pod czarnej czapeczki.

I teraz czarne lustreczko wyteżyło wszystką moc swoją słabą, aby to piękno anielskie odzwierciedlić już prawdziwie, a więc jeszcze piękniejszym niż było w swej istocie.

— Prosiłabym o ładne lustro na codzień, na całe życie i żeby mi się nigdy, nigdy nie stłukło i żeby nigdy... nigdy nie kłamało...

Pryncypał i pryncypałowa zaczęli gorączkowo otwierać wszystkie szafy, wyciągać wszystkie szuflady. Chłopiec u drzwi stał oniemiały i bez ruchu. Anioł. Anioł z drzewka. Archanioł! Takim głosem może przemówić tylko archanioł.

Czarne lustro zaparło oddech i jakby z zachwytu zdrętwiało.

Przewycięży teraz swą naturę? Nie odbije już prawdy wkleślej. Pokaże lalczce jakim jest cudem. Odzwierciedli jej łagodność, jej dobroć, jej piękno, jej anielskość. I lalczka z etażerki weźmie ze sobą czarne lustro... napewno weźmie!

Prześliczna panienska wyciągnęła teraz swą maleńką rączynę w bielutkiej rękawiczce. I brała do rąk zdrętwiałe z zachwytu właśnie... to czarne...

Trzymetrowa guwernantka coś mówiła po angielsku niemile i skrzecząco. Pryncypał niósł jedno lustro, pryncypałowa drugie, chłopiec u drzwi stał bez ruchu. Lalczka z saskiej porcelany wpatrywała się w lustro długo, przeciągle. Najpierw zaciekawiona, zdumiona, uśmiechnięta. Potem zmarszczyła czoło. Zaciśnęła wążkie usteczka Zadygotała jakby od zimnego dreszczu. Potem tupnęła gniewnie nóżką. Lewa rączka stuliła się w piąstkę...

I nagle, bez namysłu, w przystępie zwyczajnie ludzkiej złości, z całej siły, na jaką stać było tylko

laleczkę z etażerki, machnęła lusterkiem o po-  
sadzce...

Rozprysnęło się na wszystkie strony... w tysiąc  
kawałeczków...

Widocznie więc nie była archaniołem.

Ani nawet aniołem. Była Pięknem ale ludz-  
kiem, bardzo ludzkim...

LIGA „CZARNEGO TULIPANA“

Wesoły i zadowolony z siebie i ze świata wracał hrabia Hipolit do domu.

Starodawnym bowiem obyczajem poczciwi „obywatele” znów obrali na prezesa nowej Ligi, tym razem „Ligi Czarnego Tulipana” kogoś z towarzysztwa, kogoś z tytułem. Los padł szczęśliwie na niego, aczkolwiek kandydatem i amatorem na prezesurę był nie byle kto, bo księżę Agaton.

Hrabina nie kładła się spać, ale mimo spóźnionej pory czekała na niego z kolacją.

— Otyljo! Otyljo! jakże ci jestem wdzięczny za twoje czuwanie, za twój czujny duch, że tak powiem. Imaginuj sobie! Wracam do życia politycznego! Na całej linii, wszystkie me siły oddaję znów na służbę ojczyźnie. A propos, co jest z kolacją?

— Zaraz podadzą, bądź cierpliwy. Tymczasem zjedz sobie kawioru.

— Kawioru? Fi donc, może wiślany?

— Ależ skądże! Astrachański. Sama kupowałam u Kuryluka. Masz tu cytrynę. Śliczne są te cytrynki sycylijskie. A jutro jak mój mąż będzie caca-ny, to dostanie ostrygi, bo przyszedł już świeży transport z Ostendy.

— No to cudownie, cudownie Otylciu. Widzisz jak ja przeczuwałam, że ty mi zrobisz siurpryzę... Widzisz... kawior świetny... pamiętasz te czasy, jak się to całymi beczkami sprowadzało...

Ach Boże! nie wróć już nie wróć... Ale i ja tobie także małe cadeau przyniosłem...

— Domyślam się. Pewnie tę pyjamę z rue de la Paix od Douceta?

— Nie. Tymczasem jeszcze nie, złotko drogie. Coś innego...

— No to flakon Atkinsonoskich „fijołków“.

— O ja wiem, że ty masz na nie chrapkę. Ale jeszcze nie...

— No więc co? Mów Hipuś, bo już jestem niecierpliwa.

— Sarotti! Sarotti! Wreszcie wynalazłem sklep, gdzie jest ta czekolada berlińska i kupiłem odrazu większy zapas.

— No, to ślicznie z twojej strony, ale przyznam się myślałam, że coś trwalszego, solidniejszego!... kosztowniejszego!

— Zrobi się, zrobi, tylko powoli, wszystko będzie i londyńskie perfumy i paryska pyjama, tylko daj mi dzisiaj przyjść do słowa. Więc proszę ja ciebie! Zostałem prezesem takiej rady głównej, rady naczelnej od „Ligi Czarnego Tulipana“.

— „Czarny Tulipan?“ „Czy to kabaret?... Coś to brzmi trochę nieprzyzwoicie.

— Ale skądże nieprzyzwoicie? To jest taka Liga dla popierania domorosłego przemysłu. Wiesz, dziecino droga... niedobór naszego bilansu handlowego... od zeszłego maja do zeszłego lipca wynosi wiesz ile? nie wiesz? Oto wynosi 800 milionów, czy też miliardów, bo już nie pamiętam tych naszych nieszczęsnych złotych, a to wszystko przez to, że kupujemy takie zagraniczne, proszę ciebie, cudzoziemskie, takie, paryskie wogóle i tym podobne towary, wiesz?... Obce.

— No i co z tego Hipuś? czy to co złego?

— Bardzo źle, proszę ciebie, bo to luksus, zbytek, marnotrawstwo, zły bilans czy budżet czy coś takiego... Nie sposób dalej! deficyt... A propos co jest do tego rostbefu? Niema kaboulu?

— Jest sałata, musztarda...

— Niema kaboulu porządnego?... Ty wiesz, że ja nie strawię mięsa bez kaboulu! No mniejsza z tem! Otóż z tej racji myśmy się dzisiaj zebrali w Resursie, no i tego no i zeszło się dużo tych panów z miasta i mnie tego... mnie wybrali prezesem no i radę i zarząd i takie wydajemy orędzie... do tego narodu do społeczeństwa... no i wszyscy się podpiszemy...

— A co z tego?

— Jakto co z tego?

— Co z tego wyniknie, że się znów podpiszecie i że znów zarząd i znów rada?

— Ano z tego, że jak wydamy odezwę i zaczniemy się podpisywać, to wszyscy zaprzestaną kupować zagraniczne takie wyroby, a będą tylko nasze... A każdy kto się do nas zapisze, to jego nazwisko będzie drukowane w gazetach.

— I co z tego Hip?

— Jakto co z tego? To z tego, że odtąd wszyscy wszystko tylko krajowe.

— A ty także mężusiu?

— Naturellement!... Jako prezes Tulipana oczywiście.

— No to ślicznie. Bardzo się cieszę Hip. Ale a propos. Jakie ty nosisz buciki?

— Jakto jakie? Union shoes! a jakież może nosić szanujący się człowiek?

— A kapelusze?

— Borsalino! a jakież mógłbym? na zimę, „Habiga“.

— Doskonale. A która teraz godzina?



— Jedynasta.  
— Nie! Wpół do dwunastej.  
— Mój się nigdy nie spóźnia. Genewskie idą regularnie. A to Pategg...  
— Mógłbyś mnie poczęstować papierosem.  
— Ależ służę ci, duszko droga. Mam nawet egipskie. Będzie teraz dostarczał egipskich do Ligi konduktor z gdańskiego pociągu.  
— A herbatę chcesz, koteczku? A może kawy?  
— Wolę herbatę. Jeżeli jest „Lipton“...  
— No to nie dostaniesz, ani herbaty ani kawy. Jako prezesowi Tulipanów nie wypada ci pić zambrskich odwarów. Dopóki Liga nie będzie miała swoich plantacji, będziesz dostawał rano maślanekę albo żur. Wybieraj!  
— Ależ Otyljo perelko moja! Zastanów się!  
— Niema perelko. Niema, zastanów się! Zostałeś prezesem i już! Ale ponieważ wracasz do życia politycznego i zaczynasz znów podpisywać orędzia do narodu, więc w nagrodę za to napijemy się czegoś... przed snaniem...  
— Cudownie! Pomery? Tak?  
— Zaraz zobaczysz prezesie Ligi, która tuli panów bezrobotnych. Pozwól, że ja zadysponuję.  
— Burgunda?  
— Zaraz zobaczysz! Janie proszę zamrozić butelkę! Butelkę jabłecznika... tego z Kruszwicy... wytrawnego... „Złotą Renetę“. Jak Tulipan to Tulipan...

## STYLIZOWANY PROMETEUSZ

Młody malarz, mieszkający naprzeciwko jego „pracowni”, nazwał go dziwacznie „stylizowanym Prometeuszem”, mieszczaństwo niższe, osiadłe w tych okolicach krótko warjatem, jego najbliższy przyjaciel i powiernik, właściciel składu broni białej i niebiałej, w kwestjach polityki zdecydowany konserwatysta p. Żdziebło — męczennikiem pogody.

Przydomek te nadano mu z tych powodów, że: po pierwsze, życie swoje poświęcił mistrzostwu ognia czyli pyrotechnice, po drugie, nosił czarną długą asyryjską brodę, upodabiającą jego ekscentryczną postać do figury księcia potępionych, włoską pelerynę po kostki i kapelusz kalabryjski... męczennikiem pogody zaś dlatego, że ilekroć świat cały miał stanąć dęba z podziwu przed jego: Wodospadami Niagary, wulkanem Marjanny lub pałacami królowej Saby, tylekroć rześisty, serdeczny deszcz spadał na zebrane tłumy, na wóz z przybarami ognioziewającymi, na obwiedzione drutami „miejsce świętych”, gdzie P. T. Publice wstęp absolutnie nie był dozwolony, a gdzie Jan w Oleju Pieczarkiewicz stał już owinięty po szyję czarną peleryną, dumny, świadom siebie, spocony z zapachu dla swej sztuki, dzierżąc w ręce kilka pudełek zapalek szwedz-

kich. Jeżeli tylko produkcje piekielne jego ognistej fantazji drukowane były na afiszu jako „great attraction“, jako „clou“ programu festynu w którym parku miejskim, jeżeli tylko jego nazwisko figurowało na plakatach wianków na Wiśle, wycieczek, majówek; ile razy zdecydowany na wszystko „stylizowany Prometeusz“ na własną rękę i interes urządził wielkie „Monstre widowisko pyrotechniczne“ z puszczeniem balonu i urozmaiconym koncertem muzyki wojskowej, tyle razy na pogodne do samego wieczora niebo zaczęły wypływać niespodzianie chmurki, gromadzić się w chmury bardzo czarne, wicher strącał powoli z drutów chińskie i japońskie lampjony jeden po drugim, a publiczność dzieliła się na dwie połowy: tchórzliwsi pędzili do dorożek i tramwajów, a żądni wrażeń rozpinali flegmatycznie parasole i stali, czekając sensacji w potokach deszczu, wśród-piorunów i jęku gromów.

— Pan urodził się pod złą planetą — mawiano do niego.

— Pan powinien się produkować wyłącznie na Saharze.

— Pan powinien mieć własny przenośny cyrk z żelaza i szkła dla swoich awantur.

— Pan powinien puszczać swoje żaby i krokodyle ogniste zawsze po czterdziestodniowej ulewie chyba.

— Obywatele ziemscy powinni pana wynajmować przy posusze.

— Przez pańskie bawienie się ogniem Wisła wezbrała.

— Otruj pan Falba, jeżeli pan chce egzystować.

— Ożeń się pan z Aurą, to się pogodzicie.

— Tylko na rany Boskie nie przyjeżdżaj pan do Zakopanego ze swoimi prochami.

— Załóżże pan raz sklep z płaszczami gumowymi.

Takich goryczy w serce wlewano mu już nie kielichy, ale szafliki, kubły całe. Nic dziwnego, że pesymizm jego z dnia na dzień rósł i już był czarnym jak smoła, a żal do ludzi, świata i przyrody przybierał coraz jaskrawsze i wybuchowsze formy. Już od pięciu lat firma jego „Jan w Oleju Pieczarkiewicz“ stała się synonimem kataklizmów przyrody, a na spektakl fantastycznego arcydzieła jego sztuki p. t. „Godzina w piekle“, które dla odmiany nazywał czasem „Spaleniem świątyni Djany“, albo „Bitwą pod Chocimem“, nie pozwoliła dyrekcja policji łącznie z Radą miejską z obawy oberwania chmury.

Męczennik ognia gryzł się tem i martwił; jego asyryjska broda rosła i przybierała fantastyczne, rozwichrzone formy, w oczach malowała się determinacja, na ustach miał grymas bezgranicznego sceptycyzmu, a już wprost z cynizmem nie licującym z jego wysokim powołaniem wyrażał się o swoim „pechu“, o tym tajemniczym, złośliwym związku między przyrodą a jego raketami i świecami rzymskimi.

— Gdybym ja na ten przykład został właścicielem łazienek — mawiał z wyrazem głębokiego przekonania do pana Ździebły, wyborcy konserwatywnego, to woda w wodociągach wyschłaby w trzech dniach.

A limfatyczny pan Ździebło, człowiek, który całe życie pędził w białej kamizelce, nie tylko nie pocieszał przyjaciela, nie tylko nie pokrzepiał jego nadziei i gasnącej energii, lecz przeciwnie jeszcze przypominał mu wszystkie niefortunne spektakle,

całą pyrotechniczną Gehennę z przeszłości i zwracał uwagę, że ten „ten twój bestja deszcz zawsze taki panie niespodziany”.

W istocie ogniomistrz z Krzywej dokładać musiał jeszcze do swojego fachu z tego, co pozostawił ś. p. papa również Jan tylko Kanty i nie mocarz ognia, ale handlarz wołu, osła i innych rzeczy, które jego były. Handel rogacizną uprawiał „nieboszczyk stary” nie tylko z talentem, ale i z profitem, czego namacalnym nieruchomym dowodem był domek na podmurowaniu, wielki ogród tajemniczy, w którym ogniomistrz pętał potęgę pierwszego elementu przyrody i przygotowywał swoje „numera”, a w ogrodzie rzeczka Młynówka, której brudne wody, niosące od miasta wszystko, co miastu jest niepotrzebne, były płynnym i lekko śmierdzącym terenem, na którym Pieczarkiewicz próbował efektu swego osławionego: „Węża morskiego”. Przytem w kasie oszczędności miejskiej leżały fundusze ś. p. starego, z których długie lata mógł czerpać wyrodney od wołów genialny w igraszkach ogniem, syn obracając je w proch, saletrę, siarkę, salmiak, sole, peleryny włoskie, kapelusze kalabryjskie i wygodny żywot powszedni.

Mimo tego materialnego spokoju o swoje bytowanie, mimo tego względnego szczęścia, byłby Jan w Oleju wpadł niechybnie w melancholję, ba nawet byłby może wysadził się samobójczo w powietrze któregoś wieczora, kiedy to wicher szumi w kominach, a deszcz o szyby tłucze, gdyby nie to że w poprzek jego wędrówki do Walhali stanęła (jak zawsze w takich wypadkach) postać niewieścia, która w sercu stylizowanego Prometeusza zajęła obok kultu ognia — miejsce naczelne.

Nazywała się Marją. Tak. Była blondyną, miała blednicę, oczy płomienne, usta palące, smukły

wzrost „świecy florenckiej”, gibkość ruchów „żabek latających”, głos jej dał się porównać ze szmerem „fontanny arkadyjskiej”. Czy miała coś wspólnego z „wulkanem amerykańskim”, to się miało okazać dopiero w przyszłości. W każdym razie była córką komisarza dyrekcji skarbu państwa, czyli nowożytnego celnika.

Poznali się na występie, spektaklu, czy produkcji: Marja z małym, lubym braciszkiem, który przed dwoma godzinami wpadł do stawu, przed godziną rozdarł sobie majteczki, a obecnie chciał koniecznie wziąć jedną połowę rakiety do domu, aby ją puścić w salonie rodzicielskim, stała koło drutów ogrodzenia, patrząc zdumionem okiem na drewniane rusztowania, kije, gwiazdy, gilzy wśród których posuwał się z mistyczną powagą maga, Jan Pieczarkiewicz, od czasu do czasu czarną ręką okładając silnie plecy swych wtajemniczonych pomocników, adeptów, sukkubów.

— Gdzie się „takie” zapala? — musiała na nalegania braciszka zapytać mistrza zażenowana panna, wskazując na rakieta.

— Od spodka, proszę pań — odpowiedział głosem śpiewnym, w którym zabrękała po raz pierwszy nutą miłosnego wzruszenia. Oczy jego zatonęły w jej oczach.

— Od spodka — powtórzył, i mimo, że widowisko miało się rozpocząć dopiero za godzinę zuchwałą ręką despoty wydożył zapałki i podpalił największych rozmiarów rakieta wojenną.

Rakieta z szumem i sykiem wzniosła się chyżo w przestworza, pękła, rozsypując z hukiem grad małych gwiazdek. Przytem jednakże budząc z uspienia wrogie Pieczarkowi moce żywiołu. I oto już jakby na dane hasło z szaloną szybkością jęły gromadzić się chmury czarne, czerwone, rude, bał-

waniły się, pietrzyły, spływały coraz niżej. Już jakby za różdżki czarodziejskiej tknięciem zerwała się wichura wściekła, zagrzmiało raz i drugi. Wreszcie nawalny deszcz lunął na park, w którym odbywał się właśnie kiermasz z loterią fantową, na dochód wstydzających się zebrać literatów. Opatrzność znowu w dotkliwy sposób doświadczała cierpliwości Jana w Oleju. Ale i Pieczarkiewicz wyszedł z równowagi moralnej, stracił spokój człowieka oswojonego z deszczem, tak jak oswojeni są z nim parasol, grzyb i turyści; błędnym wzrokiem popatrzył wokół, potem utkwił oczy w niebo. A kiedy i jego męczeńską fizjognomię zalały potoki wody, jął bluźnić Bogu, łamał z pasją „świece florenckie” i wrzucał je w staw, podpalał wszystkie, wszystkie „słońca wirujące”, i „kaskady obfitości”. Gdy publiczność masowo opuszczała ogród, tłocząc się przy bramach, w jego drucianym ogrodzeniu odgrywało się piekielne widowisko. Franek, Wycyk i Antyk, podszatani i pomocnicy z popalonymi twarzami, rękami i ubraniem, padali twarzą na ziemię i znów uciekali, potykając się co chwila o kije z przymocowanymi gilzami. Arcymistrz ognia, owinięty po uszy, stapał konwulsyjnie w potokach deszczu i podpalał wszystkie, wszystkie najdroższe okazy. Syczało tylko i strzelało. Kłosa iskier wylatywały w górę, by gasnąć, to znów się wznosić, strzelać, rozsypywać się. Słońca wirowały na kijach, jakby wijąc się z szalonego bólu, jaki im ulewny deszcz sprawiał. Fontanny tryskały w górę, wywracały się, wysypywały w bok, strzelały w ziemię. Zabki, wielkości przedpotopowych ichtjozaurów, podskakiwały jak wściekłe, by złane wodą upadać znowu, podskakiwać i rozpadać się w bólach śmiertelnej walki z wrogim żywiołem. Co chwila śmiertelny huk rozdzierał powietrze, gąłdzie

bliskich drzew padały strzaskane, ziemię rozkopywały kule dynamitowe, zapalały się i gasły czerwone, zielone i żółte ognie bengalskie. A wśród tego wszystkiego, w blasku piorunów, które od ziemi zdały się spadać ku niebu w centrum rozpasanej walki dwóch rozpętanych żywiołów ognia i wody, stał on, nieustraszony, nieugięty, jak anioł strącony, księżę potępionych, spocony z emocji nadludzkich, stylizowany Prometeusz.

— Janie, wściekleś się? — krzyczał od stawu pan Zdziebło. Ale głos pana Zdziebły był w tym wypadku głosem wołającego na puszczy: prostujcie...

— Sądny dzień odstawiam — krzyczał z drugiego brzegu Jan, rzucając na staw „młynek atlantycki”, z którego wybiegła w górę imponująca kaskada zielonych i złotych kul. — Przedstawiam Sąd Ostateczny — był prawie ochrypnięty z gniewu Jan w Oleju i smolną pochodnią podpalił pakę z „Wodospadem Niagary”. Płomienie i dym zasłoniły horyzont, ogłuszająca kanonada dawała przedsmak końca kuli ziemskiej, wreszcie i deszcz zdawał się już namyślać, czy wobec tego padać jeszcze, czy kapitulować, tembardziej, że park był już zupełnie pusty.

Pieczarkiewicz nasyciwszy hydrę zemsty, od dawna drzemiącą na dnie serca, wolnym krokiem, nie oglądając się, wychodził poza ogrodzenie druciane, aleją nad stawem szedł pełen pańskiej pogardy dla wroga, już prawie wesoły, spokojny, bo tryumfujący. Myśli jego były już tylko przy niej, przy Marji, córce celnika. Te kilka słów, które zamienili ze sobą jeszcze, potem z mamą i trzema innymi siostrami, wreszcie z papą komisarzem (który miał też tytuł, charakter i nos inspektora gorzelnianego), ten funt „świec weneckich”, jaki wrę-

czył lubemu chłopcykowi, nawiązały odrazu stosunki sympatii między nim a rodziną celniczą. Lont miłości wyprężony iskrzył się.

— A widzisz Janie, znowu dzisiaj nie tego jak zawsze... Nadto awantury wyrabiasz strasznel Rzuć też panie swoje zabawki i wejdź panie ze mną do tego... — mówił Ździebło. Oddawna namawiał pan Ździebło pana Pieczarkiewicza do wejścia z nim w spółkę na sklep z bronią, do którego raz na rok koło Wielkiejnocy wstępował jakiś samobójca po jak najtańszy rewolwer, jakiś radca miejski po strzelbę na szczury, czasem ktoś po truciznę na myszy. Dziennikarze, wszyscy już mieli rewolwery w biurkach i stare tureckie szable do pojedynków. Naprzeciw firmy U. Ździebło sprzedawano z całą bezczelnością rogi z drzewa i z korka, tak, że Ździebło groziła niechybna ruina. Jan w Oleju ani słyszał, ani słuchał, snuł w głowie idealną wstęgę marzeń i w miłosnem rozpamiętywaniu zatonał cały aż po kalabryjski kapelus... — Pójdę do nich z wizytą, wezmę ten czarny surdut z popielatym kołnierzem i żółty gors, potem się oświadczę i będę przyjęty — wesele musi być u mnie, ogród się oświeci bengalsko, kolację z lodami da się w altanie. Franek będzie za mnie puszczał za rzekę, na dach blaszany. Może, jak się ożenię, to Pan Bóg odmieni z „tem“, bo tak, to człowiek grzeszy rozmaicie i to ciężko...

I jak sobie powiedział owego wieczoru Sądu ostatecznego, tak się też stało.

W miesiąc był ślub. Padło właśnie na te dni kiedy to sąd miejski delegowany ogłosił niewypłacalność firmy U. Ździebło, której przedstawiciel był drugim družbą pana młodego. Wesele odbyło się z całym przepychem, na jaki tylko wschodnia fantazja księcia ogniowego mogła się wysilić.

Przed domem, przed ogrodem, na parkanie, na dachu, na kominach paliły się wszystkich kolorów ognie bengalskie. Na wodzie kręciły się z sykiem wesołe młynki wodne, figlarne żabki ogniste skakały wśród krzewów agrestu i porzeczek. Na drzewach syczały „Izy krokodyla“, ponad wielką furta ogrodową płonął transparent z literami „M. J.“. I kiedy orszak ślubny wchodził w powrocie z kościoła i wysypaną czerwonym piaskiem aleją szedł do altany, muzyka ukryta dyskretnie za dwoma małemi domeczkami (większemi nieco od ulów o jednym maleńkiem okienku) zagrała z tuszem „Tarara-boumdeya“. Ku modremu, bezchmurnemu, iskrzącemu się mrowiem gwiazd niebu wleciała nowego typu rakietka-olbrzym, nazwana krótko, ale szlachetnie: „Marja“.

Goście zasiadali z hałasem w wielkiej altanie, miły rozgwar rozmów panował w ogrodzie nad cichym syczkiem i huczkiem sztucznych ogni. Olbrzymie „kwiaty piekła“, wyrzucające w trzy kierunki miliony szmermeli, zdawały się pochylać i kłaniać swemu władcy. Nad całym ogrodem, domkiem, muzyką, alejami, kuchnią, parkanem, tłumami ciekawej gawiedzi z ulicy unosiła się gęsta i zwarta mgła dymu, różowa luna i woń prochu i siarki. — „Wesołość“ wzięła „Pogodę“ za ręce i obie unosiły się nad nieruchomą spuścizną ś. p. starego Jana Kantego tylko że...

Właśnie mały, luby szwagierek puszczał węza gumowego z ogrodowej sikawki wprost na altanę z gośćmi, właśnie pan U. Ździebło wstał i rozpoczął pontyfikalnie...

...Są chwile w życiu pojedynczego człowieka, jakoteż całych narodów, dlatego sądzę panie, że będę wyrazem wszystkich tu zebranych gości, jeżeli trzymając mowę wzniosę toast młodej pary,

w której dwa zacne, staropolskie gniazda tak pogodnie...

...Kiedy od zachodu dał się słyszeć przeciągły, złowrogi grzmot.

Przecucia straszne nie zawiodły... Nic się nie zmieniło nawet i od ślubu...

Stylizowanego Promoteusza ukąsił sęp w samą wątrobę...

CZYN I CMA

Wreszcie więc i zegary zabiły.  
Pierwszy ten w bazylice Cyryla i Metodego, wydzwanający od dziewięciu lat godziny nadchodzącej śmierci, jęknął powoli senatorskim dźwiękiem zwiastowanie północy. Wraz za nim szybkim, mocnym, rozkazującym tonem ten z ceglanej strzeżonej wieży Pałacu Ludowego przy Łuku Pokoju. Poczem ten od Zakonu Towarzyszków Pancernych. I wraz z nim ten już bliski z kościołka świętej Kingi zachrypli, zły, chory, rdzą zżarty. Wreszcie w poplątanym już zgłętku łączący się z nimi pędzącym, wiecznie opóźniający się dzwon zegara z Przystanku Slepców, najbliższy na przedmieściach tej części wielkiej stolicy ludzi małych. \* Najbliższy letniej rezydencji, jego rezydencji...

Słyszę każde złowrogie uderzenie zegarów, jak gdybym był kółkiem w mechanizmie każdego z nich. Serca dzwonów uderzają w bezbronne ścianki mojej czaszki miarowo, boleśnie bezlitośnie, budząc mnie z odrętwienia, rwąc spokój wyczekiwania na strzępy. Każdy dźwięk rozpręza mi nogi wryte w wilgotną ziemię, każdy dźwięk napina mięśnie w stalowe liny i wiązadła, każdy chłosta krew w żyłach do szybszego krążenia, każdy mocniej przytula mi do boku misterne ale ciężkie



narzędzia czynu, piekielny instrument śmierci. Każdy ton wybijającej godziny rozszerza mi bardziej źrenice i wpija mocniej mój wzrok w płamę świetlistą pałacowej werandy tam, w górze wysoko, na wylocie alei cyprysów.

O północy punktualnie skończą uroczystą kolację, wstaną od stołu ze szurgotem hałaśliwym nóg wszystko zawsze depcących, a służba szybko posuwa stare smukłe krzesła Chippendaloskie, innych „panów“ pamiętające. Poczym stanie się że pełni żeru, ciężcy trunkiem, zaduchem swych zgrubiałych cielsk udęczeni wyjdą jak zawsze, z werandy po schodach w aleję z drzewek cytrynowych, opadającą wolnym spadkiem aż do żelaznych wysokich sztachet, które okalają stary park hetmański.

I wtedy zdarzy się mój pierwszy i ostatni czyn.

W gałęziach znieruchomionych, zdrętwiałych w niemem oczekiwaniu drzew coś zachybotało. Poruszyła się najdrobniejsza gałązeczka olchy, zniecierpliwiona martwością gorącej sierpniowej nocy. Czuję dokładnie bezsenne zaciekawienie i czuwanie na jawie wszystkiego ptactwa, patrzącego na mnie z bliskich gałęzi rozszerzonymi czarnymi oczkami istot oczekujących czynu, świadomych konieczności czynu — mojego czynu.

Tu nie daleko na krańcach śródmieścia wielkiej stolicy małych, w jarząco oświetlonym mieszkaniu Olgierda oczekują teraz zebrani oni. Są ubrani odświętnie, rozmowni, rozbawieni, beztrzęsą rozbawienia odgrywający! W jasnym pokoju zebrali się spokojni, swobodni, cierpliwi, wierzący we mnie ślepo, pewni, na żaden zawód nieprzygotowani. Olgierd zasiadł już zapewne do fortepjanu. Przy-  
emną światła i za chwilę kaskady rapsodji rycer-

skiej, mojej Rapsodji Rycerskiej, buchną przez szeroko rozwarte okna w dół, w wąwóz ciemnej ulicy, w noc letnią, parną, w wielką stolicę małych, w świat. A kiedy Olgierd będzie mniej więcej dobiegał do andante, dom cały zatrzęsie się w posadach, a okna rozwarte zadźwięczą jeno w zawiadach. I wszystkie domy obok zadrzą, a na asfalty ulic posypie się z metalicznym dźwiękiem ulewa szkła, tłumiąc odrazu akordy mojej marnej, mojej mistrzowskiej rapsodji.

Zaiste bowiem w tym momencie nastąpi mój pierwszy i ostatni czyn.

Widzę oczyma mojej słabej wyobraźni jak w tysiącach tysięcy małych i wielkich stacji telegraficznych siedzą pochyleni nad aparatami jacyś bliźni moi, wpatrzeni w paski papierowe, oczekujący niespokojnie wielkiego czynu, mojego czynu. Widzę dokładnie, jak w kamerach telefonicznych tyłu, tyłu miast na obu półkulach czekają ze słuchawkami przy uszach inni, walczący z sennością, ale cierpliwi, bo przeczuwający bezwiednie, że za chwilę już przyjdzie jedna z tych nowin, po których westchnienie ulgi wydobywa się z piersi setek. Wiem z niewstrząśniętą pewnością, że te miliony ludzkich istot, które teraz odpoczywają ogarnięte hypnozą snu w łózkach swych ziemskich kłateczek, zasypiały niedawno z marzeniem o jednym tylko czynie, który teraz ma nastąpić, o moim czynie. Dzisiejszej nocy wielkie przesło z mostu niegodziwości musi się zapaść w przepaść, jedna gwiazda fatalna musi być zepchniętą w niebyt. O świcie będzie już po wszystkim. Jutrzejszy dzień da tryumf dobrej sprawie dzięki aktowi mojej woli, dzięki jednemu błyskawicznemu gestowi mej ręki... O! to będzie dopiero rapsodja rycerska!

Zegary wielkiej stolicy małych wydzwoniły północ. Już wszystkie. W uszach jeszcze dźwięczy mi ostatni ton ostatniego dzwonu i łączy się z pierwszymi echowymi akordami mojej rapsodji. Wreszcie i te rozplývają się w wilgotnej atmosferze, głuchną i zapadają w przepaść nieprzebranej ciszy. Nieubłagalna drapieżna samotność porýwa mnie w swoje szpony. Ciężka opona chmur rozwięsała się nisko, dziwnie nisko nad prastarymi olchami Hetmańskiego Parku. Przewór nieba zasnuła bezgwiezdna, bolesna ciemność. Oko tonie w czerni gęstniejącej, naciskającej mnie dokoła coraz okrutniej. Teraz, teraz należy wyteżyć w jedno ognisko całą żywota wolę, siłę i władzę. Gińąc ożyjesz, padając podniesiesz się, szczerząc zmarwychwstajesz! Już tylko ku ostatecznemu celowi wyteżaj wzrok! Patrz. Bądź gotów! Chwila się zbliża...

I widzę, jak tam, tam w górze, nawprost wysmuklają się z ciemności w rzesistych blaskach światła kolumny Arkadji, ich Arkadji! I bieleją ściany pałacu z wpiętymi jarzącymi bukietami okrągłych ampli. Teraz powinni już wstać z szurgotem wszystko depcących nóg. I obcierać w białe serwety czerwone od krwi ludzkiej usta. I dziękować sobie wzajem i ścisnąć ręce gotowe znów do mordów. I teraz zacząć schodzić po marmurowych stopniach w dół ogrodu, w chłód, w ciemnię, byle bliżej, bliżej. Aż wreszcie nieprzeczuwający niczego, spokojni, oddychający ciszą, żarząc jeno czerwonymi ognikami i zatruwając swoimi oddechami Boże powietrze, dojdą aż do żelaznych sztachet Hetmańskiego Parku. Do Alei Cyprysów. I wtedy..

W oczach wpatrzonych, wrytych w tę kolumnową jaskrawą białość czuję już ból jakby od

ukłucia tysiąca drobniuchnych szpileczek. Za wiele te oczy piękna oglądały niegodne, by mogły spoglądać długo i mocno w jeden cel, w jedną płamę świetlistą.

Mam najgłębsze przedświadczenie, że jeżeli teraz wzrok na chwilę oderwę od tej oazy światłości, w której blaskach kąpie się to wszystko, com znieawidził i co niszczyć mam zniszczyć, jeżeli na chwilę odwrócę oczy moje w ulgę oblegającej mnie ciemności—to oslepnę. A jeżeli oslepnę, nie będę już mógł spełnić jedyne go czynu, dla którego i ja żył i inni, moi ze mną. I dlatego zmagam ból w oczach, mgłą krwawą już zachodzących i patrzę, wpijam się wzrokiem w kolumny Arkadji. Gorący pot oblewa mnie raz po raz, nogi wryte zapadają się w wilgotną ziemię. Jakoś nie wstają dzisiaj tak jak zwykle, opóźniają się. Czyżby przeczuwali? Czy coś zaszło niezwykłego? Na kresach parku lekki dech wiatru przemknął nad wierzchołkami... Jakaś ptaszyna zatrzepotała skrzydełkami, wpatrzona we mnie, zasłuchana jakby w ciszę. I teraz dostrzegam w szlaku rozpylonej światłości padającym z werandy pałacowej wprost ku mnie jakiś drobny punkcik. Zbliża się ku mnie szybko i w miarę zbliżania powiększa, rośnie, olbrzymieje. Coś znów zatrzepotało w bolesnej ciszy stężalego jakby już w wieczystej nieruchomości parku. To rosa pada... Najniespodziewaniej i po raz pierwszy od tyłu, tyłu godzin czyhania w kępie zieleni czuję konwalji świeżych zapach, upojny a delikatny; widocznie w tym momencie właśnie rozkwitły i mnie przesyłają pierwsze pożegnalne pocałunki. Nie oglądnę się gdzie są, gdyż, gdybym odwrócił teraz oczy od celu jedyne go, oslepliby i nie spełnił mego posłannictwa. Patrzę więc upornie, z wysileniem ostatecznym w smugę promienną i oto do-

strzegam już wyraźnie w pyłku lejącym ćmę, ale  
ćmę upornie piękną, pozornie szarą jak wszystkie  
a jednak w promieniu świetlnym mieniącą się ty-  
siącem tysięcy kolorów tęczy...

Tyle już uskrzydłonych robaczków oglądałem  
w blaskach słonecznych, ale zaprawdę żaden z nich  
tak oszałamiająco piękny jak ten w tej rozstrzygają-  
cej nocy! Leci wprost ku mej twarzy poblądłej  
już w śmiertnym wyczekiwaniu czynu. I kiedy,  
w zaciekawieniu i zachwycie uchylam głowy prze-  
latuje obok mnie dumnie ćma nocna. Niebaczny  
odwracam głowę i patrzę w szlak świetlany za  
drobnym pyłkiem ożywionego kurzu ziemskiego,  
lejącym w czeluść ciemności. Rozkoszny zapach  
konwalji owiewa mnie słodki i odurzający. W ustach  
czuję niespodziewanie smak rozgryzanego granatu  
czy też całujących wilgotnych warg kobiecych.

Na mięśnie przed chwilą sprężone opada  
szybko gnuśność nieubłagana. Ręka wyciągnię-  
ta przed się i dzierząca twardo arcydzieło sztuki  
śmierć niosącej opada. W ostatnim oczu mgnie-  
niu widzę jeszcze jakieś kościste palce, wyciągające  
mi błyskawicznym ruchem bezbolesnym gałki oczne  
o oczodołów... Ślepnę. Już nie widzę, nie widzę  
ni oazy przekłętej światłości ni ćmy zapadającej  
w czarne upusty..

Słyszę tylko wyraźnie cwałujący rytm Rap-  
sodji Rycerskiej, mojej sławnej fortepjanowej rap-  
sodji rycerskiej.. Hahaha...

I słyszę gruby szyderczy zdrowy śmiech wsta-  
jących od stołu z szurgotem nóg wszystko dep-  
cących.

Na werandzie pałacu Arkadii...  
Ich rezydencji... Zwycięzców!

(Warszawa, rok 1917).